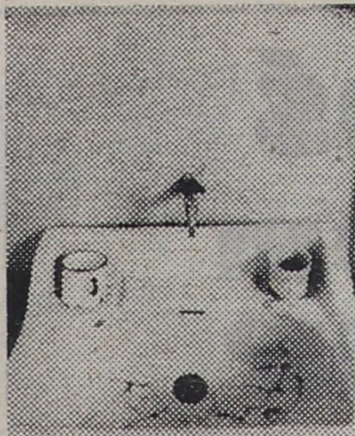


3
słuchać
i słyszeć
odkurzanie
tożsamości



4
do gminy
najdalej



5
szukaj się
pan sam



6
jak uczyłem
się pracować



13
kto będzie
kury
macać

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

11

(38)

KONTAKTY

22 III 1981

Cena 4 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

jaśniepospolitość gminna

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSKY

- Może nam pan zdradzić, skąd ma pan te maszyny?
- Nie, no, ja faktury mam.
- Kopaczka „z Polski”?
- Na pewno.

chłop śpi a w polu rośnie

Z ROLNIKIEM
INDYWIDUALNYM,
SOŁTYSEM WSI
ANDRZEJEWO,
TADEUSZEM
MARKOWSKIM
ROZMAWIA
WŁADYSŁAW TOCKI

WŁADYSŁAW TOCKI: — Zdaję sobie sprawę, że każdego rolnika do prawdziwie chłopskiej pasji doprowadza, nie tak dawno jeszcze dość często słyszane, powiedzonko: „Chłop śpi, a w polu mu rośnie”. Jednak w zimie, okresie powszechnie uważanym za czas wypoczynku wsi, nie jest ono chyba aż tak idiotycznie nieprawdziwe?

TADEUSZ MROZOWSKI: — Tak pan myśli? A może chciałby pan zobaczyć, jak to wygląda na co dzień? Proszę bardzo. O wpół do siódmej może mnie pan zastać w oborze. Poranny obrządek. Żeby nie było niejasności, powiem może, co do niego należy: usuwanie obornika, dojenie, zadawanie paszy, pojenie, karmienie świń, odstawa mleka do zlewni. Gdzieś koło dziewiątej mogę spokojnie siaść do śniadania. Potem trzeba urządzić sieczki, posprzątać obejście. Jestem też sołtysiem, więc zawsze ktoś przyjdzie — a to po kwit, a to z podatkiem. O dwunastą znowu zadawanie paszy, pojenie, wymiana podściółki. Trwa to, dajmy na to, jedną godzinę. O szesnastej wszystko zaczyna się od początku i trzeba się niekiedy spieszyć, by umyć się przed dziennikiem.

Owszem, zima jest porą odpoczynku, ale nie takiego, jak wielu sobie wyobraża: że chłop siada na przypiecku i czeka na wiosnę. I przede wszystkim nie odpoczynku fizycznego. Po prostu nie szarpie mi teraz nerwów każdy komunikat o pogodzie, byle chmurka na niebie, deszcz, jak czeka się na słońce, i słońce, gdy czeka się na deszcz. A te zajęcia, o których na początku powiedziałem, to przecież i tak nie wszystkie.

— Właśnie, o czym dobry rolnik musi w tym czasie pomyśleć?

— Przede wszystkim trzeba naprawiać maszyny i narzędzia, i to począwszy od najprostszych, grabie, widły, gable, łopaty, bo tam zęby wylamane, tu trzonek. Latem i jesienią nie ma na to czasu. Trzeba też sobie zgromadzić, ile się tylko da, zapasowych i brakujących części zamiennych. Kiedy latem, w same żniwa, pękła mi kosa u kosiarki, kosztująca dwieście czterdzieści złotych, straciłem nie tylko trzy dni na jej zdobycie, ale i kilka tysięcy złotych, bo taka jest wartość

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

CIĄG DALSZY NA STR. 7



Trzecim punktem Porozumień Gdańskich — i niewątpliwie jednym z najważniejszych — jest przestrzeganie, zagwarantowanie w Konstytucji PRL, wolności słowa, druku i publikacji. Zaowocował on pracami nad nową ustawą o cenzurze, powstaniem pism i biuletynów „Solidarności”, radiową transmisją mszy niedzielnej itd. W podpunkcie trzecim stwierdza się również: „Działalność radia i telewizji oraz prasy i wydawnictw powinna służyć wyrażaniu różnorodności myśli, poglądów i sądów”.

Posiedzenie Łomżyńskiego TKZ-tu NSZZ „Solidarność”, które miało miejsce 11 marca br. dowodzi, że część jego członków zapomniiała już, o co walczyła i walczy „Solidarność”.

Od dłuższego czasu na łamach „Kontaktów” prezentowane są najrozsadniejsze opinie ludzi różnych przekonań i przynależności. To bardzo wyraźne zróżnicowanie poglądów można dostrzec choćby, w prowadzonej od końca ub. roku, ogólnopolskiej ankiecie „Polski dylemat — nadzieje i wątpliwości”, w której udział wzięli m.in. marszałek Sejmu PRL, przedstawiciele nauki i kleru, organów władzy i instytucji partyjnych, publicyści, satyrycy, literaci. Dobór osób, ich nieraz kontrowersyjne wypowiedzi, nie wywołały żadnych protestów. Podobnie żadnych zastrzeżeń nie budziły publikowane pamiętniki nastolatków, pisanego ogólnopolskiego konkursu naszego pisma. Do czasu. Konkretnie do emisji audycji satyrycznej „60 minut na godzinę” w dniu 8 marca, w której Jacek Fedorowicz wyśmiał Ireneusza Wójcickiego, zestawiając odpowiednio fragmenty z jego pamiętnika. Nawet jeśli red. Fedorowicz nie znalazł bardziej ważkiego problemu krajowego, w który zaangażowałby swój talent i popularność, to może dobrze byłoby zastanowić się, na ile taka drwina przyczyni się do politycznego wyrobienia młodzieńca, a na ile może mu zaszkodzić. Przecież dopiero co pozwolono mieć poglądy i wątpliwości... Czyżby tylko wybrać losu?

O ile jednak satyra rządzi się swymi prawami, działacze związkowi powinni rządzić się swoimi.

Dnia 10 marca prezydium TKZ-tu, oddział w Łomży, sformułowało uchwałę o ogłoszeniu bojkotu tygodnika „Kontakty”. Jej zatwierdzenie przewidziano na posiedzeniu TKZ-tu następnego dnia. Wówczas to przedstawicielom załóg zaprezentowano jedynie nagranie audycji Jacka Fedorowicza, nie troszcząc się o to, czy wszyscy znają kontrowersyjny tekst. Następnie odczytano list protestacyjny dr. Schramma, napisany tego samego dnia i skierowany do redakcji tygodnika „Kontaktów”. Z treścią tego jedynego listu polemicznego redakcja mogła zapoznać się dopiero po uchwaleniu bojkotu. Poniżej cytuję go w całości.

„W związku z artykułem, który ukazał się kilka tygodni temu w „Kontaktach” — „Pamiętniki 14-0 latków”, gdzie młodociany (?) autor w sposób dość beceremonialny potraktował naszego Papieża, zaś arogancko i obelżywie Związek „Solidarność” i Lecha Wałęsę, chciałbym niniejszym listem złożyć swój protest. Dlaczego robię to dopiero teraz, a nie zaraz po ukazaniu się tych wynurzeń? Sądziłem, że pismo „Kontakty” rozchodzi się tylko w niewielkim stosunkowo gronie czytelników naszego regionu, którzy to przeczytają, poklną i zapomną. Niestety krąg czytelników sięga poza Łomżę i artykuł ten znalazł reperkusje w radiowej audycji „60 minut na godzinę”, co już poszerzyło odbiór na dobrych kilkaset tysięcy ludzi. A to już przykre i wstyd dla Łomży, jako że „Kontakty” mienia się być pismem łomżyńskim. Jesteśmy zapadłą polską prowincją, ale z ambicjami i szczególnie uwrażliwieni na to, co się o nas mówi. „Kontakty” mają w swym podtytule nazwę pisma Komitetu Wojewódzkiego PZPR, a więc ukazujące się w nim artykuły mają imprimatur tej instytucji, co zobowiązuje redakcję do starannego doboru artykułów. Cóż z tego, że w tym samym numerze znajduje się „Brat naszego Boga” Karola Wojtyły, sztuka scenicznie bardzo trudna w czytaniu, ujawniająca swe walory dopiero na scenie. Co to ma znaczyć postawienie obok siebie obu tych prac? Czy szerokość zainteresowań PT redaktorów? Czy liberalizm cenzora? Czy też ma odzwierciedlać poglądy towarzyszy z Komitetu Wojewódzkiego PZPR od lichego antyklerykalizmu po katolicki mistycyzm, od uznania dla protestu ro-

czy ktoś się nad tym zastanowił?

botniczego do nienawiści dla „Solidarności” i Lecha Wałęsy. Dawniej nazywano to, że „diabeł się ubrał w ornat i ogonem do mszy dzwonił”. Odpowiedzialność za słowa ciąży na wszystkich, a już szczególnie na ludziach rozpowszechniających poglądy swoje lub czyjeś. Słowem można pouczać i zabawić, pocieszyć i uleczyć, ale można też zasmucić, obrazić i rozwiścieczyć (czasem zabić — szczególnie uczucie). Czy po to, aby mnie katolika i członka Solidarności zasmucić i rozłościć trzeba Wam było sprowadzać te „złote myśli” aż z Wrocławia (?)?

Łomża, dnia 11 marca 1981 r

Stanisław Schramm

Łomża, Wojska Polskiego 31/18”.
Dr Schramm atakuje więc przede wszystkim różnorodność poglądów prezentowanych w piśmie i liberalizm cenzora. Bravo! Natomiast krytykując wątpliwości i odczucia nastolatka — zapomina, że w pierwszym tegorocznym numerze dziennika „Kontaktów”, Juliusz Świredo, zamieścił subtelny, wręcz poetycki tekst o przebiegu obchodów 10 rocznicy wydarzeń na Wybrzeżu — „Pamięć tamtych dni”. (W tym samym numerze znalazła się rozmowa z Lechem Wałęsą). Swoją spóźnioną protest autor motywuje dotychczasowym przekonaniem, iż pismo rozchodzi się „tylko w niewielkim stosunkowo gronie czytelników naszego regionu”, a więc jest mu wszystko jedno, co myśli i co czuje te kilkadziesiąt tysięcy naszych odbiorców z województwa łomżyńskiego. Stanisław Schramm wychodząc z założenia, że „jesteśmy zapadłą polską prowincją”, ogranicza swoje ambicje do pragnienia, żeby reszta Polski dobrze o nas myślała, niezależnie od tego, co się u nas dzieje. A przecież prowincjonalizm to głównie określony sposób myślenia, którego nie muszą podzielać wszyscy mieszkańcy Łomżyńskiego, a tym samym — kompleksów dr. Schramma.

Moja polemika na forum TKZ-tu z listem i projektem bojkotu oraz zwrócenie uwagi na fakt, że TKZ też ponosi odpowiedzialność za słowa i decyzje i że powinien szczególnie mocno przestrzegać praworządności, demokracji oraz wolności słowa, jak też wezwanie do polemiki z pamiętnikiem i rozmów z kierownictwem redakcji, zostały tam przyjęte dość dziwnie. Przewodniczący obrad, Henryk Tomaszewski, nie dopuścił zebranych do dyskusji, lecz udzielił głosu przedstawicielowi Zarządu Regionu Mazowsze, Maciejowi Madejskiemu. Ten zaś, niezgodnie z przyjętym porządkiem posiedzenia, przerwał omawianie punktu poświęconego tygodnikowi, aby przez półtorej godziny pouczać zebranych o tym, co się aktualnie dzieje w Polsce i na świecie, co nam grozi i z której strony. Zarówno dobór informacji, jak i sposób ich przedstawiania, doprowadziły do rozbudzenia pożądanych emocji — niezadowolenia. W takim momencie zaproponowano powrót do sprawy podjęcia uchwały o bojkocie pisma.

Dziwić może fakt, że jej gorącym zwolennikiem był Maciej Madejski, nie znający ani pamiętnika, ani pisma jako takiego. Zaskakiwać też może wysoki poziom uogólniania wniosków, jakie wysnuło na podstawie zamieszczenia tego pamiętnika — o generalnie niewłaściwej linii pisma. W dyskusji nie słyszałam żadnych argumentów, które by uzasadniały to stwierdzenie. Nie przedstawił też ich nikt z prezydium.

Prezydium nie wzięło również pod uwagę moich zastrzeżeń, ani jako przedstawiciela redakcji, ani jako członka „Solidarności”. Nie zgodziło się ani na rozmowę z kierownictwem redakcji, ani na uprzednie wystosowanie tekstów polemicznych. Postąpiono tak, mimo że nigdy nie zdarzył się przypadek odmowy zamieszczenia jakiegokolwiek polemiki w piśmie.

Moje stanowisko nie było odosobnione, ponieważ uchwała o bojkocie „Kontaktów” przeszła większością tylko jednego głosu. Śmiem twierdzić, że gdyby prezydium

stworzyło warunki do normalnego przebiegu dyskusji, większość obecnych nie dałaby się wmanewrować w ten nieodpowiedzialny (nie powiem, że nie przemyślany) krok.

Zastanawiam się, komu w „Solidarności” może tak bardzo zależeć na zatargu z pismem, że dąży do tego celu za wszelką cenę, rezygnując z zasady konsultowania decyzji, z negocjowania przed podjęciem uchwały o bojkocie, a nawet łamiąc prawo statutowe członka związku. Przypominam przewodniczącemu TKZ-tu, Bogusławowi Baranowskiemu, który upominał mnie: „Nie będzie pani pouczała nas, co powinniśmy robić”, że rozdział III Statutu, traktujący o prawach i obowiązkach członków mówi: „Członek Związku ma prawo występować z wnioskami i postulatami do władz związkowych wszystkich szczebli, być na bieżąco informowanym o wszelkich decyzjach i innych działaniach wszystkich instancji Związku i brać udział w zebraniach, na których władze związku podejmują uchwały dotyczące jego osoby”.

Okazuje się, że zarówno kolega Baranowski, jak i pozostali członkowie TKZ-tu, nie tylko nie czuli obowiązku lub potrzeby porozumienia z kierownictwem redakcji przed podjęciem tak ważnego kroku, ale nie uważali również za stosowne potraktować członków KZ NSZZ „Solidarność” przy redakcji „Kontaktów” jako pełnoprawnych członków związku.

DANUTA WRONISZEWSKA

„Uchwała

W związku z antyspołeczną polityką uprawianą ostatnio przez Redakcję tygodnika „Kontakty” godzącą w ludzi pracy i osoby wnoszące ogromny wkład w proces odnowy w naszym kraju opowiadamy się za Bojkotem pisma „Kontakty”. Tylko tym sposobem możemy wywalczyć odrobinę obiektywności i prawdy w tym piśmie, na które wylicina się nasze piękne lasy aby drukować brednie i artykuły godzące w godność ludzi pracy. Redakcji o mecenasie pisma „Kontakty” — przypominamy: brakuje papieru na podręczniki, dzieła Mickiewicza i Miłosza — a wy drukujecie co wam się rzewnie podoba, nie patrząc na szkody tym wyrządzone nam wszystkim. Czyż nie widzicie, ile spraw

do czytelników i przyjaciół

„Kontakty” potrzebują Waszej natychmiastowej pomocy. Prosimy przede wszystkim o bezstronne, sprawiedliwe i spokojne rozważenie zarzutów zawartych w bezprecedensowej w powojennej historii prasy polskiej uchwale Tymczasowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność”, Oddział w Łomży, o bojkocie pisma. Wzywamy Was na sesjiów i obrońców jedynego pisma Ziemi Łomżyńskiej: spójrzcie obiektywnie i bez emocji na zawartość „Kontaktów”. Czy na jego łamach znajdujemy — jak sugeruje uchwała TKZ-tu — treści „antyspołeczne”, „wywrotowe”, „antynarodowe”, „godzące w ludzi pracy” lub myśli „uderzające w odnowę”? Czy taka jest linia pisma i jego polityka?

Od pierwszych chwil istnienia tygodnika przyjęliśmy — jakże polską i jakże sprawdzoną w dziejach naszego narodu — zasadę: różnić się pięknie, w odmiennych zdaniach, w starciu, w polemice, szukając prawdy, a nie na stosach rzekomych czarownic.

W poszukiwaniu prawdy odrzucenie zawarte w uchwale TKZ „Solidarność” epitetu i insynuacji, spróbujcie rozsądkiem wyłowić w niej jakiegokolwiek rzeczowe argumenty. Nam się to — mimo dobrej woli — nie udało.

Jedno w całej tej historii jest naj-

leży odłogiem, które powinny gościć na naszych łamach a do tej pory prawie zupełnie przez was przemilczane. Na nie tu drukowanie Karola Wojtyły, wypowiedzi Lecha Wałęsy czy kilku artykułów o „Solidarności”, skoro na drugiej stronie obrażacie tego wielkiego Polaka, a jeszcze wcześniej Kościół pragnący ratować upadającą moralność w naszym społeczeństwie. Wasza grubo kamuflowana, wywrotna i antynarodowa robota przynosi nam wszystkim wielką szkodę. Służy zaś tym, co pragną odwrócić od praw wywalczonych przez robotników. Ogłaszając bojkot tygodnika „Kontakty” pragniemy ukrócić szerzenie myśli godzących w nas wszystkich. Formę bojkotu i datę rozpoczęcia TKZ ustalili na najbliższym posiedzeniu.

Prezydium TKZ NSZZ „Solidarność” Oddział w Łomży

Łomża, dnia 12 marca 1981 r.

„Uchwała

W związku z uchwałą TKZ NSZZ „Solidarność” Oddział w Łomży z dnia 11 marca br. Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” przy Redakcji „Kontaktów”, przy jednym głosie wstrzymującym, podjęła uchwałę następującej treści.

Ogłoszenie bojkotu „Kontaktów” uważamy za pochopną i nieodpowiedzialną decyzję, ponieważ:

1. podjęto ją bez uprzedniej konsultacji z Komisją Zakładową NSZZ „Solidarność” przy Redakcji „Kontaktów”;
2. nie skorzystano z możliwości protestu (do czasu podjęcia uchwały Redakcja nie otrzymała żadnych materiałów polemicznych odnośnie kontrowersyjnego „Pamiętnika nastolatka”);
3. w uchwale potępiono dotychczasową politykę pisma, podczas gdy przedmiotem kontrowersji był tylko jeden materiał;
4. uchwała godzi w wolność słowa, o którą upomina się „Solidarność”;
5. sprawa bojkotu została wysunięta przez Prezydium TKZ NSZZ „Solidarność” Oddział w Łomży, a nie z inspiracji szeregowych członków Związku;
6. nie skorzystano z możliwości przeprowadzenia pertraktacji z kierownictwem „Kontaktów”, a propozycje innego sposobu zareagowania na kontrowersyjny materiał prasowy, przedstawione przez obecną w czasie podejmowania uchwały redaktor Danutę Wroniszewską, zostały odrzucone.

Ten sposób podejmowania ważkiej decyzji związkowej podważa zaufanie członków NSZZ „Solidarność” przy Redakcji „Kontaktów” do Prezydium TKZ NSZZ „Solidarność” Oddział w Łomży.

Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” przy Redakcji „Kontaktów”.

bardziej bolesne, żeby nie powiedzieć — tragiczne: postulat bojkotu „Kontaktów”, wbrew pozorom, nie jest wcale oryginalny. Pochodzi od najbardziej konserwatywnych sił w społeczeństwie województwa, zaniepokojonych faktem, że pismo tak wyraźnie i jednoznacznie wspiera proces odnowy i jej głównego rzeczownika, „Solidarność”, marnując — jakże podobna argumentacja! — papier, wytwarzany przecież kosztem „pięknych lasów”. Któż z nas mógł wtedy przypuszczać, iż przyjdzie taki moment, kiedy zagorzała konserwa zaśpiewa w jednym chórze z grupą członków „Solidarności”, by jeden strach zastąpić drugim; oficjalną cenzurę — inną, jeszcze ostrzejszą, bardziej bezwzględną: jeden zakaz — drugim, surowszym.

Mamy nadzieję, iż NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze, Oddział w Łomży, spokojnie rozważy nasze uwagi i zastrzeżenia. Bo w sprawach publicznych nigdy za wiele rozsądku. Do członków Prezydium TKZ NSZZ „Solidarność” w Łomży kierujemy pytanie: czy potraficie wymienić kilka regionalnych tygodników, które zamieszczają tyle, co nasz, pozycji wspierających odnowę myśli i życia społecznego? Żenująco, iż musimy o tym przypominać i bronić wolności słowa przed jej obrońcami.

REDAKCJA

polski dylemat

3
KONTAKTY
22 III 1981

Henryk Gryko — działacz ZSMP

słuchać i słyszeć

Uważam, że hasło ankiety zostało dobrze bardzo trafnie. W czasie wstrząsów i po nich analiza faktów — co jest na dziś sprawą najważniejszą, jaki popełniono błąd i jak do tego doszło — jest konieczna. Tej poglądowej analizy trzeba nam szczególnie, choć, jak po każdej tego typu burzy, jesteśmy osłabieni. Nie czas na rekonwalescencję. Zwlekanie — to dalsze pogłębianie braku zaufania. Powstała za duża różnica pomiędzy realnym życiem, a przedstawionym przez propagandę sukcesu. Codzienne kłopoty, trudności, załatwianie — a jak włączyć telewizor, to... Z wielu stron „jedność narodu” — a w praktyce szybko postępujące rozwarstwienie społeczeństwa. Okrężany manewr gospodarczy okazał się najbardziej skutecznym sposobem na zwiększenie inwestycji. Słuszna, popierana

Czy w partii szczerości zabrakło? Trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Było przecież tak, że „krytykujący” oznaczało po prostu „niewygodny”. Przywróćmy znaczenie słowu „krytyka”, które jest tożsame ze sztuką myślenia, analizą i oceną wartości z określonego punktu widzenia. Im więcej tych punktów, tym lepsze i trafniejsze rozpoznanie sytuacji. Celowo chyba wprowadzono termin „krytykanctwo”, by tych punktów widzenia za wiele nie było, choć — na szczęście — nie zdążono go wpisać do słowników. To jedna z przyczyn wielu „niemych” partyjnych zebrań.

Kolejną określiłbym jako znudzenie wielokrotnym mówieniem o tym samym, bez skutku. To rodziło powszechne poczucie bezsilności,

stwo: że w sztafecie pokoleń, w strefie zmian, może wypaść palec.

Złośliwi głoszą tezę, że ostatnimi laty działalność organizacji młodzieżowych sprowadziła się do tłumaczenia członkom, dlaczego ich wniośki i postulaty są niemożliwe do zrealizowania. Rzeczywiście głosy organizacji, dotyczące trudnych, ale ważnych spraw społecznych młodzieży i młodej rodziny, pozostawały bez echa, a przecież wiadomo, że nie może być szanowana organizacja nie spełniająca w sposób skuteczny jednej ze swych podstawowych funkcji — rzecznika interesów młodzieży.

Władze powinny wsłuchać się w głosy młodych i z innego powodu: w tym środowisku najwcześniej zauważa się nadchodzące procesy czy problemy społeczne. Trzeba zatem jasno określić miejsce organizacji młodzieżowej w życiu społeczno-politycznym kraju, a nie pamiętać o niej tylko wtedy, gdy trzeba wręczać kwiaty lub podawać tacę z odznaczeniami.

Organizacja ma do spełnienia także i pokoleniowe zadania, musi więc być obecna wszędzie tam, gdzie waży się losy przyszłych pokoleń. W tym temacie mieszczą się wszystkie nasze, wcześniej cytowane, postulaty, dotyczące młodych małżeństw, równych startów, młodych rolników, oświaty i kultury.

Co na przyszłość? Po pierwsze — stworzenie konkretnego programu

wyjścia z kryzysu. Powinien to być program kompleksowy, spójny wewnętrznie, uwzględniający nade wszystko potrzeby ogólnospołeczne oraz poszczególnych grup zawodowych. Po drugie — jasne określenie miejsca, roli i zadań wszystkich instytucji demokracji socjalistycznej. Do procesu programowania działań społeczno-gospodarczych trzeba włączyć najszersze kręgi społeczeństwa; uczestniczenie w tworzeniu — to uznanie jego efektów za swoje. Po trzecie — musi być więcej konsekwencji w urzeczywistnianiu tego, co zostało postanowione, ponieważ przyszedł już najwyższy czas do wyeliminowania ze świadomości społecznej przekonania, iż programy są bardzo dobre, a kiepska tylko praktyka (jaskrawym tego przykładem jest rolnictwo). Po czwarte — zasada musi stać się relacja „dobra praca — dobra płaca”. Kombinatorstwo nie może popłacać. I sprawa ostatnia — w partii kierować się trzeba zasadami statutu, choć zgodnie z wieloma głosami, powinien on ulec zmianom. Gdybyśmy jednak dotychczas ten statut w pełni przestrzegali, nie doszłoby zapewne do wielu wypaczeń.

I końcowa refleksja: tylko praca wzbogaca, tworzy nowe wartości. Tę prawdę powinniśmy wszyscy zrozumieć. Jeśli nie stanie się ona naszą wspólną świadomością, to na nic dalsze programy i dyskusje. Nawet i te drukowane na łamach „Kontaktów”.

Adam Dobroński — historyk z Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku

odkurzanie tożsamości

Po dniach strajków, w okresie tasiemcowych kolejek przed sklepami, narastania odruchów zniecierpliwienia i zaniku wzajemnej tolerancji, trudno o refleksje ogólne, podsumowujące i oceniające. Tym bardziej że przecież proces rekonstrukcji gospodarki, życia społecznego i politycznego trwa nadal, a w niektórych dziedzinach i rejonach (swoista prowincjonalność) dopiero zaczyna się na dobre. Przejdą lata i historycy określą miejsce aktualnych zdarzeń w dziejach naszego państwa. Dziś można ledwie zasygnalizować niektóre problemy, istotne w rozumieniu piszącego.

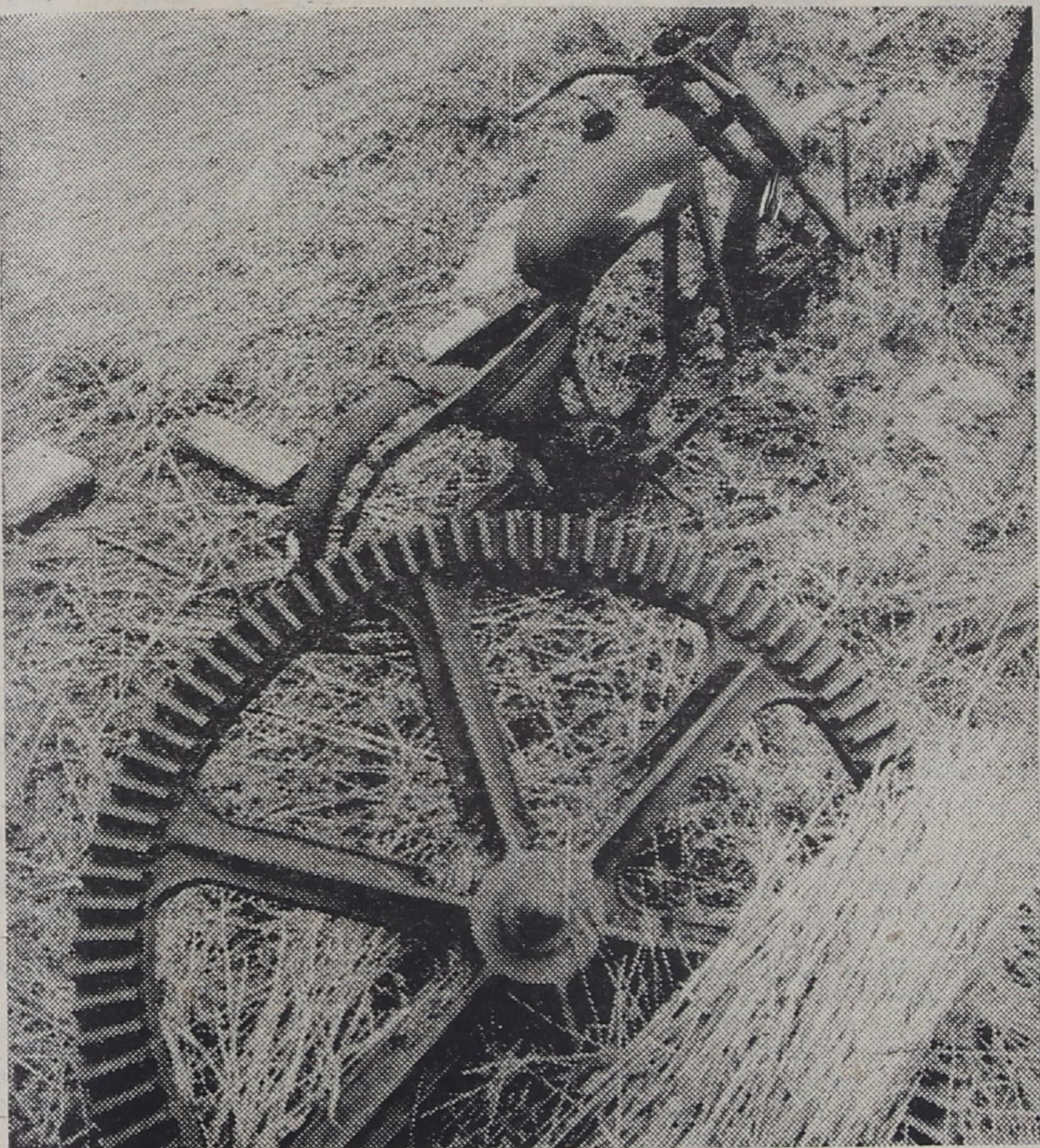
Dostrzegam w ostatnich miesiącach rewaloryzację wartości ogólnonarodowych. Mówiono poprzednio dużo o racjach państwa socjalistycznego i narodu, utożsamiając te oba pojęcia. W ten sposób traciliśmy z oczu grupy polonijne (te zorganizowane, i te pozbawione związków i parafii, własnej prasy, szkół, klubów), zubożyliśmy rejestr nazwisk i osiągnięć kulturowych godnych pamięci. Zasada poszerzania „sfer milczenia” powodowała, że — wbrew zamiarom inicjatorów tego typu polityki — narastała nieufność do sąsiadów, niewiara w oficjalne enuncjacje. Przypomina się stwierdzenie prof. Stefana Kieniewicza, że naród nasz dojrzał do tego, by mówić z nim otwarcie. Niestety, znaleźli się i historycy z tytułami naukowymi, którzy za cenę pozornej sławy, a może i okazji do „urządzenia się”, natomiast wbrew etyce zawodowej, poparli kłamliwe tezy. To był jeden ze znaczących powodów kryzysu zaufania do historii. Nie byliśmy i nie jesteśmy narodem aniołów, i nie sądzę, że społeczeństwo oczekuje tylko przykładów chwalebnych, wyćinków z przeszłości świadczących o naszych przewagach; powinny w podręcznikach i w literaturze popularnonaukowej znaleźć się także prawdy gorzkie, ale rzetelnie podane. Jesteśmy spadkobiercami całej dziejowej spuścizny Polaków.

Denerwują mnie okresowe narzekania w telewizji, radiu i prasie na skłonności społeczeństwa do anarchii, zatrącenie wartości nadrzędnych, lek-

komyśność. Prawdą jest, że szwankuje okrutnie kultura polityczna, ale czyja to wina? Rozwagi w działaniu, stosowania w myśleniu kategorii ogólniejszych trzeba się uczyć latami. Poprzednie ekipy rządzące zdawały się robić wszystko, by zniechęcić społeczeństwo do podejmowania autentycznych dyskusji, współdecydowania o losach ogółu; wystarczyło podnosić rękę, wrzucić kartkę do urny (nie czytając jej), głośno klaskać, miarowo skandować. Przestańmy szukać gorączkowo kontrrewolucjonistów wśród tych, którzy mają własne zdanie na temat pokonywania trudności na wspólnej drodze.

Słyszałem na którymś zebraniu wezwanie: „Musimy działać rewolucyjnie!” Nie oznacza to wcale konieczności przelania krwi, ale stosowania rozwiązań śmiałych, generalnych. Nie stawiamy znaku równości między brakiem papieru toaletowego w przyfabrycznej ubikacji, a wadliwym systemem zarządzania w tymże zakładzie. Historia uczy, że zmiany zasadnicze są dziełem przede wszystkim nowych ekip. Potem dopiero następuje proces oczyszczania szeregów „zwycięzców” i dołączanie grup „starych”; do głosu dochodzi walor fachowości, wsparty doświadczeniem lub nadrabianym ofiarnością i żarliwością działaniem. Opaść muszą z czołówki autorytety odbijające tylko blaski emanowane przez możnych protektorów, zasiadali w bezruchu. Z tym idzie nam wyjątkowo opornie. Czy trzeba aż kilkunastu strajków, by usunąć persony, które nawet jeśli nie kradły, to po prostu nie potrafiły utrzymać zaufania społeczności (pomiędzy oskarżeniami złośliwymi, prokurowane przez koterie).

Można mnożyć przykłady i kwestie dyskusyjne. O wielu z nich napisali i napiszą inni na tych łamach. Swą wypowiedź chciałbym zakończyć pytaniem, pozostającym jeszcze na razie bez odpowiedzi: czy historycy po latach uznają, że wykorzystaliśmy szansę lat 1980—1981? Szansę — między innymi — „odkurzenia” tożsamości narodowej.



przez rolników, polityka rolna — jak nie mogła stać się praktyką. Na każdym kroku: efektywność, gospodarność, oszczędność (EGO), a w zakładach brak węgla, energii, surowców, w efekcie — dobrej organizacji, wydajności. Na nie się przyszydz, podjęta w pewnym okresie, krytyka dyrektorów; to przecież nie brak ich zapobiegliwości, lecz skutecznego mechanizmu zarządzania, był główną przyczyną kryzysu.

Uważam, że trzeba dzielić się nie tylko sukcesami, ale także trudnościami. Łatwiej się wtedy żyje. Chcemy wszyscy prawdy — nawet brutalnej i niepopularnej — nie maskowania rzeczywistości. Tylko na pozór łatwiej kierować niedoinformowanymi. Mam jednak wrażenie, że nadal robimy raczej tak, aby społeczeństwo rozplotkować, i długo jeszcze utrzyma się świadomość, że każda plotka zawiera trochę prawdy. Z drugiej strony — brak pełnej informacji to także, liczone ostatnio i dokuczliwe społecznie, pomówienia. Zatem: nie propagujemy niebitych sukcesów, ale i nie popadamy w czarnowidztwo. Najcenniejszy jest autentyzm — wszyscy go oczekujemy. Więcej szczerości z góry w dół i z dołu w górę.

które pogłębiło się wraz z nastaniem ery zebrań monologowych, z wypowiedziami wyłącznie słusznymi, bo przesiewanymi wcześniej przez sito. Na pocieszenie mam przynajmniej taki fakt, że „recenzenci” młodzieżowych głosów w naszym województwie surowi nie byli, a i do „recenzowania” za często nie dochodziło. To dobrze, ale niezupełnie.

Przed VIII Zjazdem, na naradzie aktywu z udziałem ówczesnego sekretarza KC, przedstawiliśmy problemy młodzieży — nie wygórowanego. Mówiliśmy, że sytuacja młodych rodzin z roku na rok się pogarsza, że potrzebna baza kulturalna w Łomży i że nie można kupić gazet, czasopism i książek; żądaliśmy zrównania startu życiowego dzieci wiejskich i miejskich, pomocy dla młodych rolników i skończenie z panoszeniem się dolarów w Polsce. Rozsądnych argumentów na odparcie tych wniosków nikt podać nie mógł, nawet sekretarz KC. A jednak skrytykował wówczas to wystąpienie, wykorzystując jeden „argument”: „Niczego nie oferujecie, chcecie tylko brać”. Sprowadzenie dyskusji do takiej płaszczyzny od razu zniszczyło jej celowość. Uświadomiłem sobie wówczas jedno niebezpieczeń-

nadzieje i wątplenia

widzenia
punkt



Jan Bujnowski, sołtys wsi Klewianka, prawie przez dwadzieścia lat pełniący tę funkcję, powiedział podczas przypadkowej rozmowy w Goniądzu: — Siana nie sprzątnęliśmy, zboże nie obrodziło, ale kłopotów z gminą i bez tego mamy zawsze pod dostatkiem. Ustaliśmy dzień, godzinę i miejsce spotkania.

Przyszli prawie wszyscy, a w pierwszej kolejności ci, którzy mieli najwięcej do powiedzenia; 60, może 70 osób. Nie wystarczyło miejsc siedzących — miękkich, obitych skórą foteli, zakupionych do Klubu Rolnika za społeczne pieniądze jeszcze wtedy, gdy we wsi działało koło rolnicze, a mieszkańcy dysponowali własnym Funduszem Rozwoju Rolnictwa.

Wies jest jedną z największych w goniądzkiej gminie. Na liście podatków — 133 pozycje. Do najlepszych gospodarzy Jan Bujnowski zalicza: Antoniego Geniusza (ma nowe zabudowania, piętrowy dom, zaawanso-

ją, że reszta idzie na miazę. Kto ma komu płacić za ten miazę? Rolnikowi sypią połowę piachu, że ani to oddzielić, ani w piecu spalić, a jak upomnisz się, chłopie, o te pięćdziesiąt kilogramów, to cię jeszcze wysmieją. Ja powiem zwyczajnie, oni nam w żywe oczy kłamią. W Goniądzu jest kilka wozaków do węgla — Jan Gołębiowski, Antoni Boroś, Józef Kobaliński, Bronisław Dąbrowski. Ci obracają furmankami, ile tylko chcą. Dla nich węgiel jest, i to bez miazę. Wywożą za bramę i sprzedają na lewo. Widziałem to.

Wiele goryczy wylewa się na gees. — Inaczej nie zwróć się do chłopca, jak zaa biurka — wyznaje ktoś spod okna. — Same weterany tam siedzą, oszukańcy od kilku lat. Co za sens dawać na świnię mieszaninę już po jej wyhodowaniu? Właśnie oddałem jedną w czerwcu. Do tej pory pewnie po niej nawet kości nie ma, a mieszaninę jeszcze nie otrzymałem.

Sala wybuchła śmiechem. — Najpierw muszą sprawdzić, czy dobre z tej świni mięso, a później

nie odważy się go ruszać. — Dlaczego przy kontraktacji nie może być ktoś z Klewianki? — woła kilka głosów. — Nasza wieś jest jedną z największych w gminie.

— Jedno zebranie członków koła rolniczego odbywało się u nas aż trzy razy. Chcieliśmy, by przybył na nie dyrektor eskaeru. Nie przyszedł, tylko przysłał dyspozytora, Ryszarda Barnatowicza. Zerwaliśmy zebranie. Drugi raz wyprawił do nas księgowego, Stanisława Sobolewskiego. Nie ustąpiliśmy. Dopiero za trzecim razem wysłał swego zastępcę. Daliśmy spokój.

— Jak to się nie zmieni — podpowiada pan Oleś — trzeba będzie znów kosić na sztorc postawić i zrobić z nimi porządek.

— W Klewiance trzeba naprawić wiele dróg — mówi Jan Kuprel. — Wolimy to zrobić w czynie społecznym niż wynajmować eskaer. Ci tylko za dniówki pieniądze brać potrafią. Przywożą ze dwie przyczepy piachu i uważają, że to już wystarczy. Potrzebny nam jest tylko ich sprzęt, resztę zrobimy sami, tym

do gminy

waną hodowlę bydła mlecznego) i Kazimierza Kamińskiego (posiada gospodarstwo o powierzchni 30 hektarów), ambitnego chłopca, który nie dostał ciągnika, a jakoś gospodarzy, i to nowoczesnie. Nie ostatnie jest także gospodarstwo sołtysa.

W roku 1963 spalił się jeden budynek Klewianki. Dużo było wówczas przegniebienia, płaczu i współczucia. Lecz teraz niektórzy z przeciwnego końca wsi powiadają z przekąsem: „Ło, tamci mają dobrze. Spalili się i państwo ich odbudowało”. Wies uważa na jest za zgodną. Nie raz na wezwania sołtysa stawiali do czynu wszyscy, choć sporo zagród leży od siebie o pół kilometra i więcej.

Sołtys Jan Bujnowski ma uznanie w Klewiance.

— Gdy poprzedni naczelnik, Czarniecki się nazywał, chciał pozbawić go tej powinności i zarządził zebranie, by ludzie wybrali nowego sołtysa, prawie wszyscy chłopcy przyszedli na nie z kijami — opowiada jeden z mieszkańców wsi. — Od tamtego czasu nikt z gminy nie odważy się mieszać w Klewiankę. Towaru do sklepu nie przywożą, sprzętu nie dadzą, ale i nie decydują, kto ma być naszym sołtysiem.

Obecny naczelnik, Zygmunt Jurawicz, nie ucieka przed swoimi interesami, jak poprzedni. Zawsze przyjmie, wysłucha i najczęściej bezzadanie rozłoży ręce.

— Przynajmniej mówi chłopcy prawdę — powiada Jan Bujnowski. — Mógłby jednak czasami przyjechać do naszej wsi, porozmawiać z rolnikami, przekonać się, jak naprawdę w jego gminie jest. Ogranicza się tylko do Goniądza i swego biurka. Jakby się bał ludzi w terenie.

W sali klubu las rąk. Każdy chce mówić. Wielu zaczyna jednocześnie. Ustalamy porządek. Proponuję, by głosu udzielał sołtys.

— Tak jest, tak jest — przytakuje chórem.

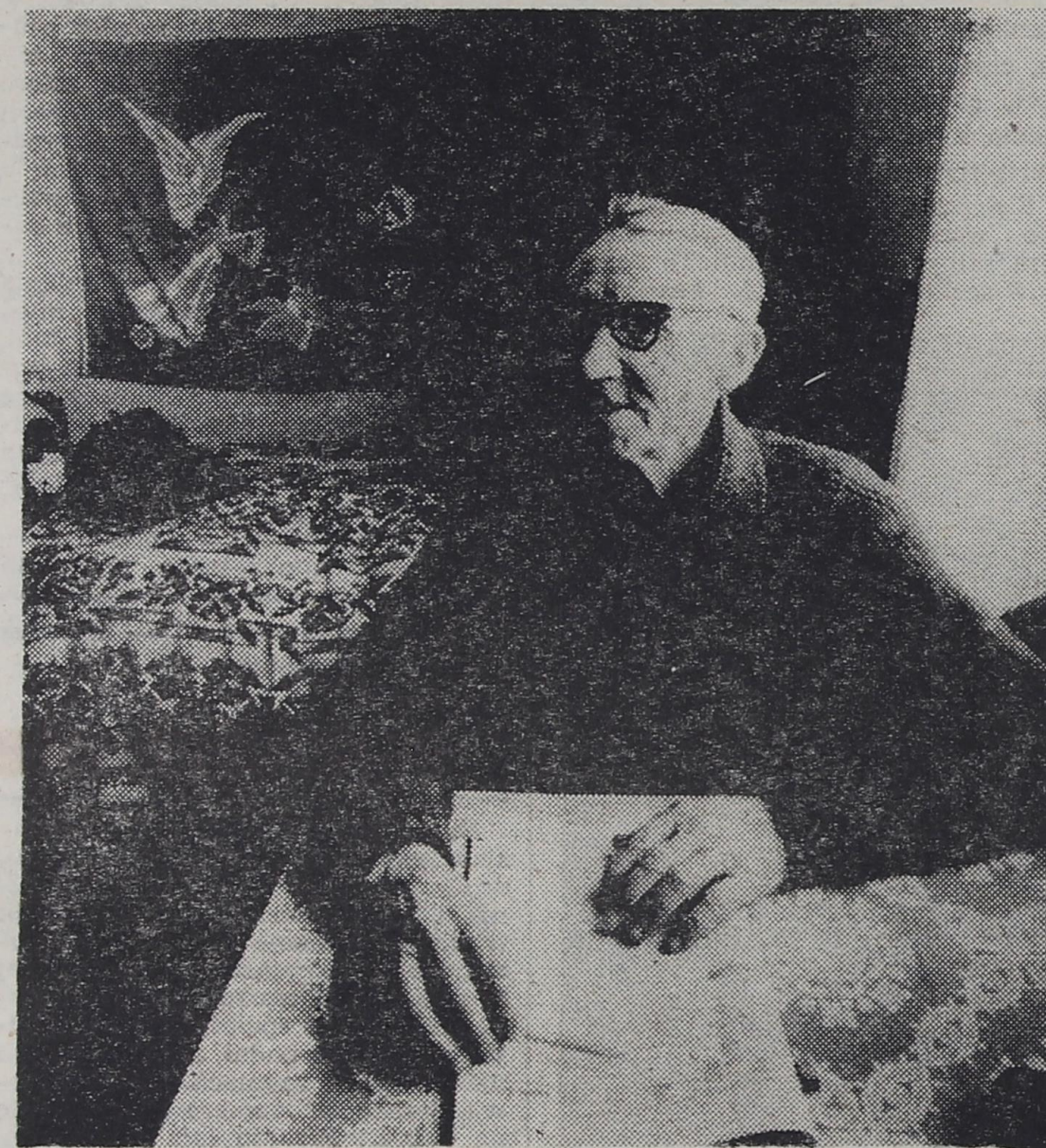
Pierwszy wypowiada się pan Oleś. Niemalże już przeżył, ale takich kłopotów z kupieniem węgla jeszcze nie miał. Nogi odmawiają mu posłuszeństwa, więc dzisiaj już o czwartej wyszedł z domu o dwóch kijach-kulach, aby kłopoty swoje przedstawić na samym początku.

— Węgiel na przydział wydawali tylko do nowego roku; czym palić po nowym? Kazali mi przyjechać 29 grudnia. Pojechałem. Na próżno. Dziennie robią 18—20 wypisów. Po co, się pytam, jak nie ma na to pokrycia? Chłopcy jeżdżą i tylko czas na stanie w kolejkach tracą. Dlaczego ustalają daty, pięknie nam tłumaczą, żebyśmy się nie pchali, a sami nie zaprowadzą żadnego porządku? Panie, na to baba potrzeba, by im trochę rozumu do głowy wpędzić!

Odzywają się głosy z sali: — Usunąć im z urzędów herbatę, będą lepiej pracować! Zwolnić połowę albo płacić tylko za cztery godziny, bo więcej na pewno nie pracują.

— Połowę dnia się traci na szukanie urzędnika — uzupełnia owinięta w chustkę kobieta. — Takie się już z nich porobili pany, że oje; same prezesy i dyrektory. Mechanika na ich miejsce zatrudnić, to przynajmniej maszynę naprawi.

Do wypowiedzi powraca pan Oleś: — I jeszcze jedno: jak rolnik ma przydział na 350 kilogramów węgla, to sprzedają mu tylko 300; powia-



dopiero zadecydują, czy warto przyznać paszę — mówi ktoś z pierwszego fotela przy ścianie.

— Tak — denerwuje się mówiący — tylko niech nie zapominają, że moja świnię jedli.

Rolnicy wypowiadają się w sposób zorganizowany. Skończy jeden, zaczyna drugi. Sołtys Jan Bujnowski dobrze wie, co boli jego wies. Wywołuje więc tylko hasła: węgiel, drogi, oświetlenie uliczne, usługi, szkoła, zaopatrzenie sklepu, przydział maszyn rolniczych. Każdy zabiera głos w imieniu ogółu. Sprawy prywatne przytaczane są tylko jako przykłady.

— Z węglem jest tak — reasumuje sołtys — chcą, to wypisują przydział zaległy, a chcą, to bieżący. Powinni sprawę jakoś uporządkować, zrobić listy do publicznej wiadomości, ustalić kolejność, a nie każdego dnia robić inaczej. Wiemy, że tego opału za dużo nie ma, lecz dlaczego pracownicy geesu stwarzają jeszcze dodatkowe kłopoty? Macą, macą, bo wiadomo, w zimą wodzie łąwi się najwięcej. Nie liczą się z chłopem nie a nic. Myśla tylko o tym, jak go oszukać, wydebić łapówkę. Każdy ze wsi jeździł po swój węgiel co najmniej 4—5 razy, ale żaden z wszystkich nie dostał. Zresztą, panie, co to za opał?

Alfred Kołda podejmuje problem kontraktacji żywa: — Gees zadecydował, że w Klewiance ma się tym zajmować Tadeusz Mańko, mieszkaniec Białosukni. Panie, co to za nieodpowiedzialny człowiek! Zawsze gdzieś w drodze, ale nie do nas. Uchwytny jest tylko na odpuszczenie albo na jarmarku. Zgłasza mu rolnik do kontraktacji świniaka, to ten z pośpiechu zapisuje cielaka; zamiast na grudzień, wystawia umowę na marzec albo zupełnie o niej zapomina. Pisaliśmy w tej sprawie do geesu, do naczelnika, jednak znikąd nie ma żadnej odpowiedzi. Widać ma w gminie mocne plecy, jeśli nikt

bardziej że Klewianka leży na pierwszorzędnym żwirze. Lecz sprzętu nie otrzymaliśmy, bo eskaer ma w sumie ze dwa ciągniki i jedną przyczepę sprawną. Sam na swoje utrzymanie dowożeniem zarabiać musi. Pozory stwarza, że tam wszystko dobrze, a sprzęt cały zepsuty, zdewastowany. Na żniwa czy na wykopki trudno u nich doprosić się o jakąkolwiek usługę. Swoich tylko jakoś obkoczą.

Edmund Bykowski zgłasza problem oświetlenia wsi: — Kilka razy budowano już u nas chodniki — mówi — i jakoś do dziś ich nie widać. Dokumentacja, modernizacji ulic kosztowała milion dwieście tysięcy złotych. W tej chwili świecą we wsi tylko dwie żarówki, a obiecali nam założyć światła jarzeniowe. Plan pewnie już myszy zjadły, a nam mówią, że stał się nieaktualny. Cała wioska podpisała się pod nim. Ludzie już chcieli wykonać to oświetlenie w czynie społecznym, ale gmina nie zareagowała, więc sprawa usnęła. Teraz nie ma nawet komu kupić i powkręcać żarówek.

— Co roku rzeczka Boberka zalewa łąki klewiańskim rolnikom. Nie mogą zebrać siana z powierzchni ok. 400 hektarów. Należność Spółce Wodnej za konserwację rowów płacą, ale ich uregulować nie ma komu — powiada Aleksander Wasilewski. — Sprawa ta dotyczy ponad stu rolników. Na pewno mogliby pokryć część kosztów włożonych w regulację rzeczki. Dali nam tylko 50 proc. odszkodowań, a za rok sytuacja może być identyczna. Nie pierwszy to przypadek, że usuwa się skutek, a nie przyczynę.

— Z wypłaconych odszkodowań jest niezadowolonych prawie trzy czwarte gospodarzy. Lepiej przyznałby te pieniądze na zmeliorowanie łąk i uporządkowanie tej rzeczki, to na zawsze byłby z nią spokój, a nam straty poniesione w poprzednich latach zwróciłyby się wielokrotnie.

— Moje pole pośrodku — mówi Genowefa Kuc. — Agronomka Bożena Przekop wymierzyła straty z jednej strony, wymierzyła z drugiej, a mnie pominęła. Czy za miedzą może być inna ziemia, nie podmokła? Nie mam ani grama ziemiaków. Zboża też nie było co sprzątać. Jak tak można szacować: jednym, również tym, którym niewiele wygnió, dać dużo pieniędzy, drugim, co ponieśli największe straty, odmówić. Toż wypada tylko wziąć torbę, kij i iść za prosiącym. Byłam u tej agronomki w biurze, zwróciłam jej uwagę, to tak się do mnie odezwała, że aż wstyd tutaj powtórzyć.

Gwar na sali cichnie. Wszystkie oczy zwracają się w kierunku drzwi, gdzie stoi młody człowiek w rozpiętej kurtce i białym szalik.

— To nasz nauczyciel, Mieczysław Zyskowski — podpowiada sołtys.

— We wsi jest tysiąclatka, a dzieci od klasy pierwszej do czwartej muszą chodzić kilka kilometrów do Białosukni — mówi nauczyciel. — Dobrze, gdy trafi się autobus. Zanim takie dziecko wróci do domu jest zmęczone, głodne i myśli tylko o pójściu spać. A przecież jeszcze czeka je odrabianie lekcji. Czy można od niego wymagać, żeby zrobiło to dobrze, gdy już nie jest zdolne do jakiegokolwiek myślenia? A dzieci z Białosukni? Miałby być dla nich zorganizowane dojazdy, ale niestety, na dobrym słowie się skończyło. Wychodzą więc do szkoły już o 6.30, aby zdążyć na autobus. Wracają na czwartą, piątą. Podobne „udogodnienia” mają dzieci z Piwowar. Jak zorganizować im posiłki, choć ciepłe mleko, herbatę? Kto powinien się tym zająć? Dyrektor gminny ma pieniądze na własną brygadę remontowo-budowlaną, na ludzi, którzy tylko z pijactwa i lenistwa słyną, a wiosną i latem ciągną prywatne budowy, by na przezimowanie powrócić. Natomiast na dofinansowanie posiłków dla dzieci nie dysponuje ani groszem. Inny przykład: w szkole w Klewiance, gdzie — jak to się pięknie mówi — zdobywają wiedzę uczniowie starszych klas, nie ma najprostszych pomocy naukowych: plansz, podstawowych narzędzi do prac technicznych, telewizora, radia, magnetofonu. Są przezrocza, brakuje rzutnika. Nie lepiej wyglądały warunki do rozwijania sportu: trzy lekarskie piłki, cztery piłki ręczne i ani kawałka boiska. O sali gimnastycznej już nie

najdalej

wspomnę. Taka sytuacja jest także w szkole w Białosukni, we Wrocławiu.

— Cholery — powiada któryś z chłopów — tak samo uczą, jak rządzą. Identycznie postępują z nami: nie masz, rolniku, siana, ale chowaj krowę. Chcą otumaniać człowieka od małego. Im się kiedyś zbierze za to rządzenie, to się później dziesięć razy zastanowią, zanim wydadzą jedną decyzję, bo dotychczas jest odwrotnie. A teraz nasze dzieci płacą za to swoim rozwojem i zdrowiem.

— W szkole w Białosukni brakuje co najmniej kilkunastu szyb. Ludzie powiadają: wybijemy pozostałe, to może wreszcie ten budynek zamkną i zrobić w nim solidny remont.

— Piec w Klewiance — wraca do głosu Mieczysław Zyskowski — naprawiano już kilka razy i, jak dotychczas, bez skutku. Co woźny w nich napali trochę, to zaraz musi okna otwierać, by czad wypuścić.

Na sali wrze jak w garnku. Każdy wyciąga swoje krzywdy, braki w pobranej mieszance, węgla, niedowagi w zdanych świńskich, luki w uczciwości magazynierów sprzedających nawozy. Wspólnie zastanawiamy się, jak rozwiązać podejmowane problemy.

Podnosi się jeden z rolników: — Musimy spotkać się tutaj jeszcze raz, w poszerzonym składzie, z udziałem naczelnika, prezesa geesu, dyrektora eskaeru, prezesa banku spółdzielczego. Niech ta elita porozmawia z nami chociaż raz, wytłumaczy się ze swoich decyzji, poczyną. Może wtedy zaczną uważać jak ludzie i uczciwie przystąpią do rozwiązywania naszych spraw.

Sale wypełniają burzliwe oklaski i okrzyki. — Słusznie, niech przyjdą, niech porozmawiają z nami. Przecież to nie tak daleko!

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. GABOR LORINCZY



Nie wiem, za co trafił do więzienia. Nie pytałem, bo i cóż to ma do rzeczy? Rozliczył się już z tym przed sobą albo nie rozliczył, wymyślił nowe albo poplątał stare drogi życia. Chociaż w jego przypadku to raczej życie wszystko pogmatwało. Życie i ludzie. Ludzie i instytucje. Nie pytałem, a on nie zaproponował rachunku sumienia.

Po prostu pewnego dnia zamknęli go. Powiedział: — Zostałem aresztowany.

Coś się zatrasnęło. Na razie myślał, że za nim, a z tym nie musiał się mocować. I pewnie nie chciał. Po drugiej stronie zostawił niechęć do ojca. Zonę. Nie, wtedy już nie zonę. I jeszcze raz: nie. Ojciec go nie odwiedzał. A potem jedno jedyne tak — zwolnienie warunkowe. Na wolności przekonał się, że owo „coś” zatrasnęło się także przed nim. Nie miał domu. Ojciec powiedział: — Chciałem go na to przygotować.

— Rzeczywiście, przyszedł tuż przed moim wyjściem. Uprzedził, że nie mam po co wracać.

W dowodzie osobistym: miejsce zameldowania — Gać. W rzeczywistości — bezdomny. Za bramą pomyślał, że został wykiwany. I że jednak warto byłoby wrócić.

Pieniądze za dom dostał młodszy brat. Budował już za nie nowy, w Łomży. Ojciec chwilowo został tam, na starych śmieciach. Jako najemca lokalu.

— Formalnie wyglądało, że jakieś prawo do tego mam i ja. Formalnie. Nie potrafili się dogadać. Napisał w liście: „Wolałem odejść, bo mogło kiedyś dojść do tragedii. A nie chciałem wrócić do kryminatu”.

Potem tułał się po znajomych. Dzień tu, kilka tam. Nie, nie chciał do hotelu robotniczego. Dość miał życia zbiorowego.

— Kurator przychodził do pracy, wzywał do siebie. Wszyscy wiedzieli, że ja... Tak. Powiedział mi wprost: „Ja jestem po to, żeby pan z powrotem trafił tam, skąd pan wyszedł”.

Pisał do Wydziału Gospodarki Terenowej Urzędu Miasta o przydzielenie mieszkania zastępczego. Kurator też odmówił wszelkiej pomocy.

— Nie miałem adresu, a ojciec nie odbierał żadnych pism sądowych. Uznali zatem, że uchylam się od obowiązków, staram się wywinąć spod „czulej” opieki. Kurator wystąpił więc o uchylenie warunkowego zawieszenia kary. No i wygrał; wróciłem tam, gdzie mnie tak oczekiwali. W więzieniu ma się czas. Na

chwile zastanowienia. Listy. Z Banku Spółdzielczego odpowiedzieli, że w rejestrze mieszkańców nie figurowałem, wobec czego transakcja, którą zawarli, jest pełnoprawna. I że nie mogę tam mieszkać. Pod odpowiedzialnością karną.

Podobnie odpowiedział Urząd Gminy Łomża.

— Dziwna sprawa, nie? Człowiek mieszka gdzieś 30 lat, a potem dowiaduje się, że nie był tam nawet zarejestrowany... Czyli że był — i go nie było. Pan może mieć wątpliwości. Owszem, mieszkalem jakiś czas w Zambrowie. Ale bez zameldowania. Z Gaci nie wypisałem się nawet na minutę.

— Prokuratura Rejonowa zareagowała...

— No, nie tak szybko. Dopiero po czwartym piśmie — zażaleniu, które wysłałem do Prokuratury Wojewódzkiej.

Odpowiedziała w każdym razie, że postępowanie wyjaśniające prowadzi i że powiadomi o ustaleniach. A potem zaczęły przychodzić odpisy korespondencji między Prokuraturą a Urzędem Wojewódzkim. Odpisy, odpisy, odpisy. Między nimi odpowiedź na pismo Urzędu Wojewódzkiego do Centralnego Biura Adresowego w Warszawie: „Obywatel taki a taki zameldowany...”

Zakład karny opuścił w kwietniu ubiegłego roku. Znowu wracał na ulicę. Dosłownie. Zameldowanie w Gaci, okazuje się, leżało gdzieś na drodze między Prokuraturą Rejonową a Urzędem Gminy. Przemierzał tę trasę kilkakrotnie, zanim znalazł. Obwarowane było jednak znana mu już formułka: „Pod odpowiedzialnością karną... w żadnym wypadku... nie może mieszkać”.

— W końcu naczelnik gminy wyrzucił mnie za drzwi twierdząc, że nic nie wskóram, a on nie ma życzenia rozmawiać z kryminalistą.

— Powiedział mi w arogancki sposób, że muszę mu to załatwić. Jak on to sobie wyobraża? Że przyjmę go z otwartymi ramionami? Dlaczego takiemu mam robić prezenty? Pretensje niech ma do swojego ojca.

Stopniowo rozwiewały się nadzieje związane z Prokuraturą. Początkowo — „tak”; później — „prawdopodobnie”, ostatecznie — „swoich praw powinien pan dochodzić sam”.

Napisał do Ministerstwa Sprawiedliwości. Pismo, przez Sąd Wojewódzki, wróciło do Prokuratury Rejonowej. Milczenie. Napisał do wojewody łomżyńskiego. To pismo odbyło krótszą drogę. Utknęło w Urzędzie Gminy. Napisał do...

— Teraz wiem, że to jest błędne koło. Czy jednak nie można mi było tego powiedzieć wcześniej? Że nie mam szans. Że jestem tylko zwykłym kryminalistą, do którego każdy z zasady żywi uprzedzenie i zamyka przed nimi drzwi. I że życie dla takiego musi być dalszym ciągiem kary.

Pracuje. Do niedawna mieszkał kątem u swojej narzeczonej w Łomży. Dziewiąta osoba na trzydziestu paru metrach kwadratowych. Teraz zameldował się tam na stałe. Gdyby nie... Ma to jednak swoje dobre strony. W przypadku rodzinnej kłótni nie będzie musiał błądzić po ulicach w poszukiwaniu noclegu. Naczelnik nie powie mu też: — Siedź pan cicho, bo pan tu mieszka, a nie jest zameldowany. Jeszcze pan zarobi kolegium! — Nie natknę się też na patrol milicyjny, który „zwinie” go i wywiezie na szosę zambrowską, prowadzącą do Gaci. Nie zostanie „zwiniony” po raz drugi, trzeci i kolejny, zawieszony na komendę i spalowany. Jest przecież teraz pełnoprawnym mieszkańcem Łomży.

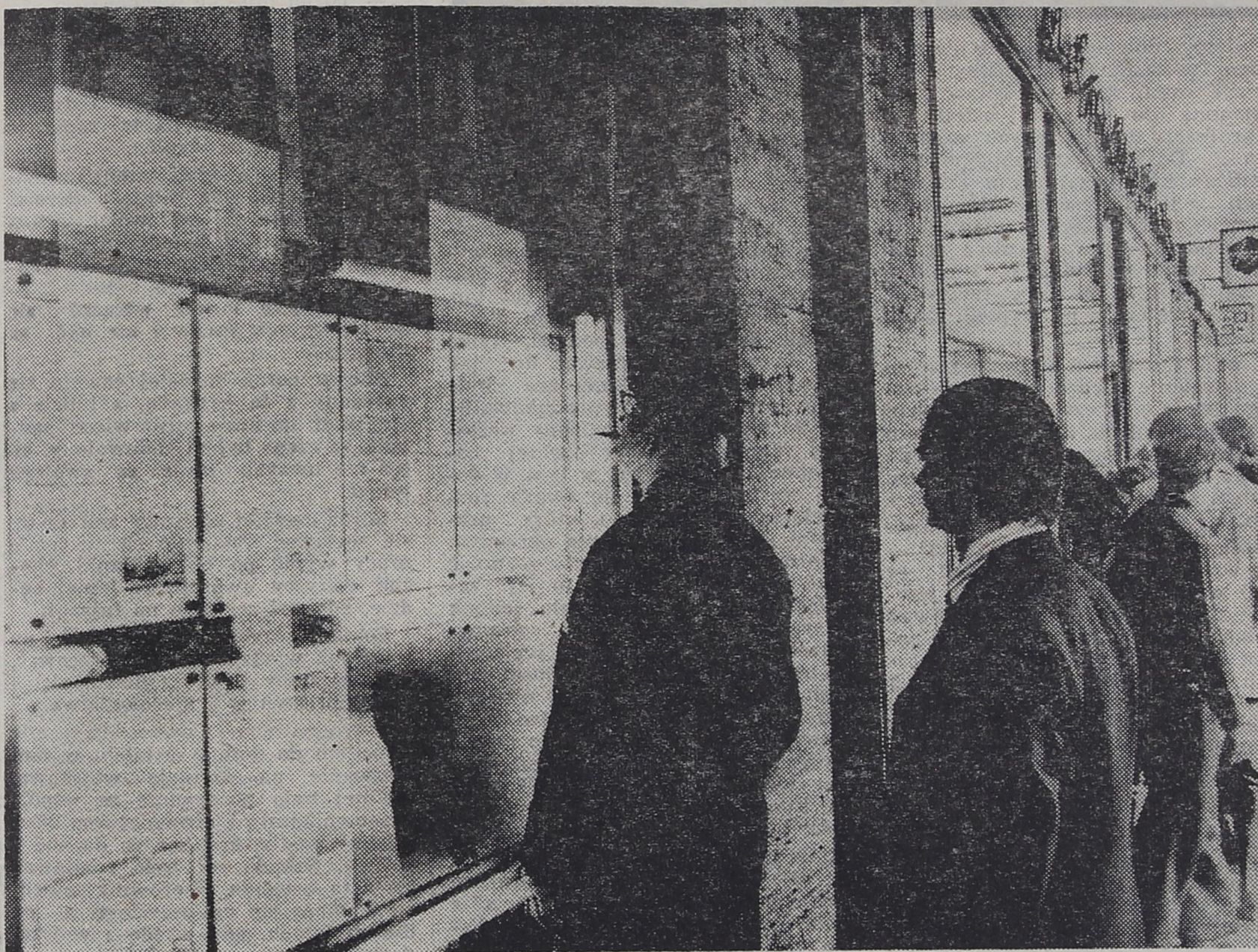
I właściwie wszystko byłoby już dobrze, no, powiedzmy, tak sobie, gdyby nie drobny fakt, że do zameldowania się został zmuszony. Milicja dała możliwość wyboru: albo, albo. Albo na ulicę, albo do rejestru. Skromna alternatywa.

W taki oto sposób stracił ostatni argument przetargowy w walce z administracją o prawo do swojego miejsca wśród nas — bezdomność. Jest przecież człowiekiem z przeszłością, a tak trudne warunki mieszkaniowe...

— Proszę pana — powiedzą mu. — Niech pan się cieszy tym, co ma. Tylko dlaczego tak trudno się cieszyć?

ALEKSANDER WRONISZEWSKI

szukaj się pan sam



Fot. GABOR LÖRINCZY

ODNOWA W KÓLKACH

Trwa ożywiona dyskusja nad skutecznymi sposobami odnowienia samorządności wiejskiej, przywrócenia jej mocy prawnej i autorytetu oraz należnego miejsca w społeczności wiejskiej. Spotęgowała ją poselska debata nad projektem ustawy o samorządzie wiejskim. W 35 łomżyńskich gminach działają już Gminne Związki Kółek i Organizacji Rolniczych; w czterech pozostałych rolnicy wyrazili wotum nieufności wobec starej — wedur nich, skompromitowanej — kółkowej formy samorządu wiejskiego. Tymczasem odbył się już w Łomży wojewódzki zjazd delegatów Gminnych Związków Kółek i Organizacji Rolniczych. Wybrano nową radę, prezydium i zarząd. Przygotowano też materiały na zjazd krajowy, który odbędzie się w drugiej połowie marca br.

Rolnicy nadal jednak nie są wolni od niepokoju, czy utworzony w takiej postaci samorząd będzie w stanie rozwiązać wszystkie ich problemy, które podnoszą podczas każdej roboczej dyskusji. Zamierzamy prezentować głosy wskazujące na rzeczywiste anomalie w rolnictwie, będące skutkiem podejmowania nie zawsze do końca przemyślanych decyzji i uchwał oraz ślepego, biurokratycznego wprowadzania ich w życie.

nie bać się żadnej „góry”

MIECZYSLAW ZAWISTOWSKI, przewodniczący Zarządu Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych w gminie Zaręby Kościelne: — Pierwsze dni działania naszej nowej organizacji mamy już za sobą. Jakoś też przeżyliśmy rozdział przydzielonego sprzętu. Gdy naczelnik przedstawił nam wykaz maszyn rolniczych, pomyślałem sobie: „Tego i Salomon nie rozdzielił!” Ale wyjście musieliśmy znaleźć. Zaproponowałem zebranie wszystkich zainteresowanych rolników. Przedstawiliśmy im liczbę podań i liczbę maszyn. Podział nie trwał dłużej niż godzinę. Okazuje się, że ludzie chcą współdecydować o swoich sprawach nawet wtedy, gdy dla większości z nich nie wypada to optymistycznie. W tej chwili każdy z rolników w gminie wie, kiedy może się spodziewać sprzętu. Naczelnik otrzymał od nas imienne listy na poszczególne kwartały. Musimy być jak najbliższe ludzi, którzy nam zaufali. Nie możemy się nikogo bać — ani naczelnika, ani sekretarza, ani żadnej „góry”. My jesteśmy na swoim terenie gospodarzami.

Druga sprawa: naczelnik ma nam dać pomieszczenie. Czynił już pewne starania. Najchętniej widziaby siedzibę samorządu w lokalu po

restauracji. Jej właściciel żąda jednak od nas za wynajęcie 5700 złotych miesięcznie. Jeśli doliczyć do tego sprzątaczkę, opał, telefon, to w sumie uzbiera się dziesięć. Odrzucamy tę propozycję, bo dobrze wiemy, że w Komitecie Gminnym pracują tylko trzy osoby, a mają wiele pomieszczeń. Rozmowy na ten temat idą jednak z dużymi oporami. Mamy też kłopot ze znalezieniem kogoś na etat. Uposażenie wysokości 5900 złotych powinno stanowić minimum, bo przecież potrzebny nam jest człowiek uniwersalny. Czy za tyle go znajdziemy, gdy przeciętny dyrektor spółdzielni produkcyjnej ma co najmniej dziesięć tysięcy?

Już w tej chwili jest bardzo dużo spraw do uregulowania, np. umowy kontraktacyjne. Dotychczas nam podsuwano tylko papier do podpisu. Weźmy, na przykład, umowy mleczarskie. Jest to w tej chwili jedyna spółdzielnia, która sama odbiera towar od rolnika. Nie znaczy to jednak, że wypełnia ona wszystkie warunki. W umowie stoi, że zaopatrzy dostawcę w artykuły i produkty mleczarskie. Ja się pytam jednak, jak od niej to wyegzekwować? Czy rolnik nie mógłby otrzymywać, przynajmniej raz na tydzień, kostki masła? Mamy oddawać mleko i wyrabiać

ten produkt starożytnym, domowym sposobem? Czy to jest poważne traktowanie producenta? Dotychczas mówiło się do chłopów tylko: daj. Jeśli tak ma być dalej, to broń nas Panie Boże przed takim samorządem.

Uważam, że powinniśmy uczynić wszystko, aby rolnik indywidualny płacił za paliwo tyle samo, co pegeery i eskaery. Dotychczas, zamiast pięciu złotych, brano od nas po 14 złotych za litr. Dlaczego tak jest? Przecież my kupujemy je do ciągników, którymi wytwarzamy produkcję dla kraju, podobnie jak sektory gospodarki uspołecznionej. Paliwa tego nie pijemy w domu zamiast wódki! Bez względu na to, po jakiej cenie ono by nie było, będziemy używać tylko tyle, ile nam potrzeba. Chłop ze swej natury jest bardzo oszczędny, ponieważ ze wszystkiego musi się rozliczyć, a nikt go nie dofinansuje.

Jestem pełen niepokoju, czy obecny samorząd wiejski zdoła pokonać narosłe od lat zaniedbania i niernaradliwość. Czy będzie w stanie bronić interesu rolnika w świetle nowych uchwał, przepisów i decyzji?

(S. Z.)

interwencje



Moje wejście w życie dorosłego człowieka odbywało się w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy kraj nasz stawał się terenem wielkich i małych inwestycji. Atmosfera budowania odczuwalna była także w małym miasteczku, gdzie przyszło mi wchodzić w tzw. wiek produkcyjny. W miasteczku, w którym największy blok mieszkalny miał cztery piętra, zaczęto budowę trzech wieżowców jednopiętrowych. Rozbudowano też stadion sportowy miejscowej drużyny piłkarskiej, która święciła swoje sukcesy w lidze krajowej oraz w meczach z drużynami zagranicznymi. Była na ukończeniu budowa małej fabryki domów, która miała poszerzyć miasteczko.

Jak uczyłem się pracować

Po paromiesięcznej przerwie od ukończenia szkoły zawodowej, przygotowującej do zawodu monter nawierzchni drogowych, znalazłem pracę w Powiatowym Zarządzie Dróg Lokalnych we wspomnianym miasteczku. Budynek, w którym mieścił się Zarząd Dróg Lokalnych, przypominał większy dom jednorodzinny. Starsza pani w okularach, która załatwiała wszelkie formalności związane z przyjęciem nowego pracownika, była bardzo miła. Dużo i dobrze mówiła o swoim przedsiębiorstwie.

Stawka, którą otrzymałem, wynosiła dwanaście złotych i pięćdziesiąt groszy za godzinę. Byłem zadowolony, bo w innych zakładach oferowali mi dziesięć i pół złotego. Po załatwieniu formalności pani w okularach powiedziała, abym zgłosił się w następnym dniu do kierownika bazy nr 2. Jak się później przekonałem — była to wytwórnia mas bitumicznych na zimno.

Kierownik bazy (w średnim wieku) wyglądał na pocziwego człowieka. Zaprowadził mnie do pomieszczenia, gdzie zbierali się pracownicy w czasie śniadania, i przedstawił jako pomocnika operatora betoniarki. Brygadziście zapoznał mnie z operatorem betoniarki, człowiekiem stosunkowo młodym w odniesieniu do reszty brygady.

Trochę byłem zaskoczony, ponieważ najmłodszy pracownik miał około 27 lat, a ja zaledwie osiemnaście.

Operator, z którym miałem pracować, kazał sobie mówić „Romek”, twierdził, że panowie wyjechali do Londynu. Ponieważ była zima, temperatura trochę poniżej zera, więc spytałem Romeka, dlaczego jeszcze robią masę bitumiczną na zimno, bo mnie uczono w szkole, że można ją układać tylko w plusowej temperaturze.

— Wiesz — powiedział Romek — planu nie wykonaliśmy za poprzedni rok i teraz nas gonią, aby nadrobić straty.

— Tak, ale przecież to nie nie da, bo za rok trzeba będzie robić tę drogę jeszcze raz.

— Nie nasza w tym głowa. Każą robić, to robimy. Ty też się nie przejmuj. Pobędziesz tu trochę, to zobaczysz, jak trzeba pracować.

Produkcja już długo nie szła, bo mroź przesunął słupek rtęci dużo poniżej zera, więc zarządzono zimowy remont sprzętu.

Moje dni stały się w tym czasie bardzo do siebie podobne. Wstawiałem o czwartej trzydzieści, aby zdążyć na pociąg o piątej, którym dojeżdżałem do pracy 30 kilometrów. Pociąg przeważnie jeździł równą godzinę. O siódmej podpisywałem listę, no i pracowałem.

Gdy zaczął się ów remont sprzętu — więcej czasu siedzieliśmy w warsztatowej kotłowni niż przy betoniarkach na powietrzu. Mój operator zawsze miał czas. Mówił: — Poczekamy, aż będzie cieplej. Taki mroź, nie ma sensu marznąć.



Byłem zadowolony bo też nie musiałem marznąć. Pomagaliśmy w remoncie kotła, który wytwarzał parę, potrzebną do ogrzania asfaltu w zbiornikach umieszczonych w głębi ziemi. Dostę często robiono tzw. grzańca: ktoś organizował składkę, jeden szedł po sześć win do pobliskiego sklepu, następnie wlewano je do garnka, dosypywano cukru i grzano. W sumie wypadło po 2 szklanki na jednego. Wszyscy twierdzili, że lepiej się czują po wypiciu takiej mikstury.

Z początku byłem z tego wyłączone, nawet nie wiedziałem, że coś takiego istnieje. Z czasem dołączyłem się do pozostałych, a później — jako najmłodszy — sam chodząc do sklepu i również stawiając wino. Czułem się coraz bardziej jednym z nich, a i oni też mnie zaaprobowali.

Kończyliśmy pracę o piętnastej — jak wszędzie. Pociąg odchodził ze stacji o 16.30, więc można było jeszcze wstąpić na przysłowiowe piwko do baru, który wybudowano w pobliżu dworców PKS i PKP (położonych blisko siebie). Częściej można było w nim wypić niż zjeść coś dobrego. Postawiono go chyba z myślą o robieniu dobrego interesu na tym trunku. Od godz. 15.00 do 21.00 amatorów „jednego” piwka nie brakowało. Nie brakowało także młodzieży wracającej ze szkół. W pociągu, którym wracałem, nierzadki był widok podpiętego pracownika lub młodzieńca, zaczepiającego ludzi w wówolującego zgorznie podróżnych.

Do domu przyjeżdżałem na 18.30, a o tej porze roku było już ciemno, więc nie mogłem pomóc w gospodarstwie. Najczęściej zjadałem obiadokolację, oglądałem film w telewizji i szedłem spać, aby w następnym dniu znowu wstać o 4.30.

W marcu, w wyniku reorganizacji przedsiębiorstwa, przeniesiono kierownika wraz z pięcioma pracownikami (byłem wśród nich) do wytwórni mas bitumicznych na gorąco. Nowa baza była położona na peryferiach miasteczka w sąsiedztwie wspomnianej fabryki domów. Tutaj praca wyglądała całkiem inaczej. Jedynymi maszynami były tu otaczarka, służąca do produkcji asfaltobetonu (wydajność do 25 ton na godzinę) oraz ładowarka samobieżna. Otaczarka — maszyna w dużym stopniu zanieczyszczająca atmosferę — była powodem wielu interwencji sąsiadujących z bazą mieszkańców. Wywieszana do suszenia bielizna po dwóch godzinach stawała się czarna.

Dni stawały się cieplejsze, na drogach zaczynały dawać znać o sobie przełomy. Pociągi miały opóźnienia po 3 i 4 godziny z powodu rozmiekczenia nasypów. W tym czasie do pracy często przyjeżdżałem na godzinę dziesiątą, jedenastą. Kilka razy zdarzyły się opóźnienia i wtedy już nie było po co jechać.

Pracowałem tym razem jako pomocnik maszynisty otaczarki. Ze względu na wysokie plany nie mieliśmy czasu na przeglądy sprzętu.

Smarowanie podzespołów odbywało się w ruchu. Często z tego powodu zdarzały się awarie, wówczas staliśmy dwa a czasami trzy dni. Jako pomysłodawca racjonalizatorski potraktowano postawienie w zimie zbiornika o pojemności 100 ton na asfaltobeton. Miał on zabezpieczać ciągłą pracę maszyny, gdy nie było chwilowo samochodu, aby załadować wyprodukowaną masę bitumiczną. Stary zbiornik mieścił tylko 12 ton, czyli miał pojemność trzech ciężarów. Był to dobry pomysł, tylko nie dokończony, ponieważ do tak dużego zbiornika konieczne było podgrzewanie. Gdy wyprodukowaliśmy 20 ton zapasu, mogliśmy wcześniej stanąć i dokonać obsługi codziennej. Problem był w tym, iż dosyć często zdarzały się awarie rozścielacza asfaltobetonu, który pracował na drodze. W nie ogrzanym zbiorniku nie można było zostawić takiej ilości, bo groziło to jej zastygnięciem. Coś wypadło jednak z tym robić. Były dwa sposoby: sprzedać parę wywrotek jakiegoś gospodarzowi za cenę pięciuset złotych albo wyrzucić tak, aby nikt nie zauważył. Najczęściej załatwiali to kierowcy. Nierzadko zdarzało im się wysypać na śmietnik za miastem trzy wywrotki dobrego asfaltobetonu, którego tona kosztowała w granicach 700 złotych.

Stosunki międzyludzkie układały się bardzo dobrze. Po pracy bardzo często urządzano małe „przyjęcia” z alkoholem, sprowadzanym z pobliskiej meliny. Jak na poprzedniej bazie, tak również tutaj, z początku nie byłam brany pod uwagę, chociaż znałem paru pracowników przeniesionych tu ze starych.

Pewnego razu pod koniec pracy przypadkowo poszedłem za otaczarkę i zauważyłem prywatny samochód ciężarowy, tankujący ropę ze zbiornika, z którego pompa tłoczyła ją pod ciśnieniem do palnika w bębnie, gdzie odbywało się suszenie kruszywa. Nie wiedziałem, jak się zachować w takiej sytuacji. Stałem trochę zdziwiony takim obrazkiem, gdy podszedł do mnie od strony samochodu maszynista otaczarki. Powiedział: — Oczywiście, Jurek, nie nie widziałeś.

— Co miałem widzieć — odpowiedziałem — jesteś operatorem i ty się rozliczasz z ropy.

W tym dniu pojechałem późniejszym pociągiem. Gdy się ubrałem i miałem wychodzić, „kolega” zawołał mnie do warsztatu.

— Chodź — zaproponował — strzelisz sobie kielicha.

Jakoś nie miałem ochoty, bo jako początkujący w tej dziedzinie wolałem wino, ale poszedłem. Na warsztacie stały dwie butelki z napisem „czysta wódka” i dwie konserwy mięsne.

— Co to za uroczystość dzisiaj — spytałem zdziwiony — imieniny, urodziny?

— Nie — rzekł maszynista otaczarki — widziałeś ten samochód?

— Jaki znowu samochód?

— Nie udawaj, że zapomniałeś.

— Ach, ten. Tak, no i co z tego?

— To, co tu stoi, jest właśnie od tego kierowcy.

— I tylko tyle? — pytam.

— Nie! To zaliczka. U nas ropa kosztuje trzy złote za litr.

— Dobry interes, ale jak się później rozliczasz? Przecież wszystko musisz pisać, a palnik ma swoją wydajność i jest norma zużycia ropy na tonę kruszywa.

— Weź pod uwagę, że kruszywo nie zawsze jest suche, a na mokre idzie więcej ropy.

— Co z tego wynika — upierałem się, nie bardzo jeszcze wiedząc, o co chodzi.

— Jak to co! Piszemy, że kruszywo jest mokre nawet wtedy, gdy jest trochę wilgotne, tym samym zwiększa się norma zużycia ropy. Wystarczy, aby deszcz był raz w tygodniu, to można pisać przez trzy dni, że kruszywo było mokre. Przecież nikt nie sprawdzi, czy kapie z niego, czy jest tylko trochę wilgotne. Na szczęście deszczu u nas nie brakuje tej wiosny.

— Rzeczywiście — przyznałem.

— No, widzisz, jakie proste! Pracujesz trochę, to i ty zaczniesz kombinować, bo z pensji, chłopie, nie wyżyjesz, zobaczysz. Ile masz teraz na godzinę?

— Dwanaście i pół.

— To na miesiąc wychodzi ci...

— Z premią do trzech tysięcy.

— Ja mam 18 na godzinę. Z rodzinnym biore ponad cztery, i co to jest, jak się ma rodzinę? Gdybym trochę nie zarabiał na tej ropie, to nie byłoby za co wypić.

Pod koniec drugiej butelki atmosfera stała się już całkiem szczerą. Dowiedziałem się od swoich starszych kolegów, doświadczonych pracowników, że jestem wart ich zaufania i że będą ze mnie ludzie, bo najważniejsze to nie wtrącać się do nie swoich spraw i nie być za mądrym.

Znowu coraz bardziej czułem się związany z tą brygadą, a ludzie z niej mieli do mnie coraz więcej zaufania, z czego byłem zadowolony, bo już nie uważali mnie za swojego wroga.

Coraz częściej po pracy trafiało mi się zostawać. Zdarzało się w czasie pracy wypić po pół szklanki, chociaż wszyscy uważali, że lepiej będzie, gdy goś zostanie na fajrant.

Pomału uczyłem się pracować i po roku już wiedziałem, jak pracować, aby wszyscy byli zadowoleni i współpracownicy i kierownictwo.

Pewnego wrześniowego dnia, gdy wróciłem do domu, zastałem w nim wezwanie na komisję wojskową. Później było pożegnanie ze współpracownikami i kierownictwem. Wypiliśmy wódkę kupioną za dochód z paliwa. Szkoda mi było rozstawać się z tą brygadą. Kierownik mówił, że wybiorą się na przysięgę, a po dwóch latach, gdy wyjdzie z wojska, dostanę stawkę po 16 złotych za godzinę.

Od tamtej chwili minęły cztery lata. Podczas konfrontacji tamtej nauki z obecną rzeczywistością stałem mi przed oczami obraz dużego, oświetlonego stadionu, na którym nie ma kto grać, bo miejscowa drużyna jest z roku na rok słabsza. Widzę trzy sterujące wieżowce, w których nie dochodzi woda na górne piętra, bo brak odpowiedniej wieży ciśnieniowej. Wreszcie widzę tony asfaltobetonu, wyrzuconego na śmietnik, tony ropy sprzedanej na lewo. Widzę drogi sprzęt — źle eksploatowany. Widzę — niestety — za późno.

Nauka zawodu odbywa się w szkole, ale jak pracować dobrze, w swoim zawodzie — uczymy się dopiero na konkretnym stanowisku pracy. Uczą nas współpracownicy; uczą nas chyba tak, jak i ich kiedyś uczono. Zastanawiam się tylko, kto i kiedy wymyślił taką naukę dobrej roboty dla własnej korzyści? Skąd wzięli się tacy nauczyciele? Czy ci nauczyciele zdają sobie sprawę, że to właśnie ich nauka doprowadziła do takiej rzeczywistości, jaką teraz mamy? Obecnie zaczynam pracę po raz drugi, tym razem zupełnie w innym środowisku, w zupełnie innym zawodzie. Wnioski z tamtej nauki nasuwają się same i pomagają w tym ponownym starcie w życie człowieka dorosłego.

JERZY

z Bemowa Piskiego
Fot. GABOR LORINCZY

chłopskiej dniówki w tym czasie. Ostatecznie i tak musiałem kupić ją u „żyda”, jak to my na wsi mówimy, płacąc w dodatku ponad sześćset złotych. Zresztą wielu rzeczy inaczej zdobyć nie można. Przez cały rok nie mogłem nabyć kilograma smarów, oleju. Koniec końców załatwia się takie sprawy z traktorstwem, chociaż wiadomo, gdzie za to można pójść.

Na jesieni i zimą powinno się też zgromadzić wszystkie potrzebne nawozy. Raz, że są tańsze, dwa — wiosną i latem nie ma czasu na wystawianie pod geesem. Ale jak to jest naprawdę, nie muszę chyba mówić.

— Do pierwszych wiosennych prac czasu nie pozostało już tak wiele. Jak jest pan przygotowany do wyjścia w pole?

— W zasadzie w pole mógłbym wyjść w tej chwili. Mam to szczęście, że mieszkam tuż pod geesem, więc widzę każdy samochód, każdą dostawę podjeżdżającą pod magazyn. Mam sto procent potrzebnych mi nawozów, zdobyłem części, wyremontowałem narzędzia i uprzęż. Nie wszyscy jednak są w takiej sytuacji. Ci, którzy mieszkają kilka czy kilkanaście kilometrów od geesu, najczęściej dowiadują się, że coś było. Nie wszyscy też mają już tyle cierpliwości, żeby za każdą duperelą jeździć po całym województwie. To też wliczyć można do naszego „wypoczynku”.

Tak naprawdę to w pole wychodzi się w połowie kwietnia. Rzecz jasna, wszystko zależy od pogody; w rolnictwie daty „przecięcia wstęgi” ustalić, niestety, się nie da.

— Miejmy nadzieję, że ubiegłoroczny, katastrofalny dla rolnictwa, rok tak szybko się nie powtórzy.

— Ale jego skutki, przy najlepszych nawet tegorocznych warunkach, nie pozwalają o nim zapomnieć. Wystarczy tylko powiedzieć, że tej wiosny trzeba będzie wykonać większość orki i siewów własnie z powodu takiej, jaka była, jesieni. Ziemia, na dokładkę, jest zalana, ściśła, straciła „na kulturze”. Poza tym skądś trzeba będzie wziąć dodatkowe ilości ziarna jarego i sadzeniaków. I to we własnym zakresie, bo państwo nie będzie chyba w stanie wszystkich w tym roku zaspokoić. A ceny idą w górę.

— Właśnie, jak ocenia pan podwyżki z końca ubiegłego roku? Są tacy, którzy wszystko skrupulatnie przeliczyli i twierdzą, że rolnik znowu dostał po kieszeni.

— Ja takich szczegółowych rachunków nie prowadziłem. Ale jest to, moim zdaniem, przelewanie z próżnego w puste. Ktoś „pomyślał” i znowu mamy absurd! Dziś, przykładowo, kilo maki tańsze jest od kilograma zboża! A to tylko dzięki podwyżce cen na pasze. Jakby ktoś nie wiedział, że ta jedna cena automatycznie pociągnie wzrost innych. Nie, proszę pana, taka podwyżka absolutnie nie ma sensu. Trzeba raz wreszcie rzecz przemysleć całościowo: zboże, mięso, ziemniaki, buraki, mleko i — nawozy, narzędzia, maszyny, materiały budowlane. Produkty rolnicze i — produkty dla rolnictwa. Tylko tak należy patrzeć przy wszelkich zmianach cen.

Dziś rolnikowi łatwo się oblicza, na jakim jest plusie. Bank daje wykaz, z którego widać, ile to tysięcy. Ale obecnie budynek inwentarski kosztuje przeciętnie siedemset, osiemset tysięcy złotych. Ile trzeba sprzedać buraków, zboża, mleka, aby go postawić? Ile trzeba wyhodować świń, aby kupić ciągnik? A to przecież nie jest artykuł luksusowy! Pan może pisać służbowym długopisem w służbowym notesie? I to jest w porządku, bo to pana warsztat pracy. A ja na swój warsztat muszę pracować całe życie. Czy tak być powinno?

— Co zatem musi się zmienić w polskim rolnictwie?

— Przede wszystkim ceny, żebyśmy nie musieli, na przykład, dzielić się wynikiem swojej pracy z tym, co mi przysyła kombajn. I tak dalej. Druga sprawa: czas skończyć z dopłacaniem państwa do gospodarstw, których wyniki zawsze mają przed jakąś tam cyfrą znaczek minus. Pomóc można na początku, ale nie dokładać całymi latami. Przykład z własnego podwórka: do każdego hektara gospodarstwa rolnego naszego SKR-u państwo dawało siedem tysięcy złotych dotacji. Nie płacił on na fundusz rozwoju rolnictwa, choć z niego korzystał; z funduszu

gminnego. Do tego dochodziły dotacje do paliwa, pierwszeństwo w zakupie nawozów i środków ochrony roślin, maszyn i materiałów budowlanych. No i — straty. Znam te sprawy, bo od paru lat jestem radnym, więc nie są to fakty wzięte z rękawa.

— Myślę, że to, co dostrzegał pan, dostrzegali również inni radni, władze gminne, organizacja partyjna. Obecnie, w chwili odnowy, kiedy równie mocno, jak inne, akcentuje się sprawy wsi, wasze doświadczenia, wnioski i postulaty mają chyba większe odbicie w decyzjach was (jako społeczność wiejską) najbardziej obchodzących?

— Może i tak będzie. Bo dotąd odnowa, moim zdaniem, do wsi jeszcze nie przysłała. Przypuszczalnie przez te ciężkie, błotniste drogi. Że tak jest, posłuję się znowu przykładem. W Gostkowie, na miejscie ZGR-u, o którym wcześniej mówiłem, zakłada się teraz spółdzielnię produkcyjną. Istnieje od kilku miesięcy administracja, bierze pieniądze, a nic nie robi. Poszło już na to około sto pięćdziesiąt tysięcy złotych. Tymczasem Rada SKR-u jest za jej rozwiązaniem. Władze gminne i radni wypowiadają się także za rozwiązaniem, bo na tę ziemię od dawna jest wielu chętnych. Ale jak będzie — zależy od województwa. Czyli w dalszym ciągu

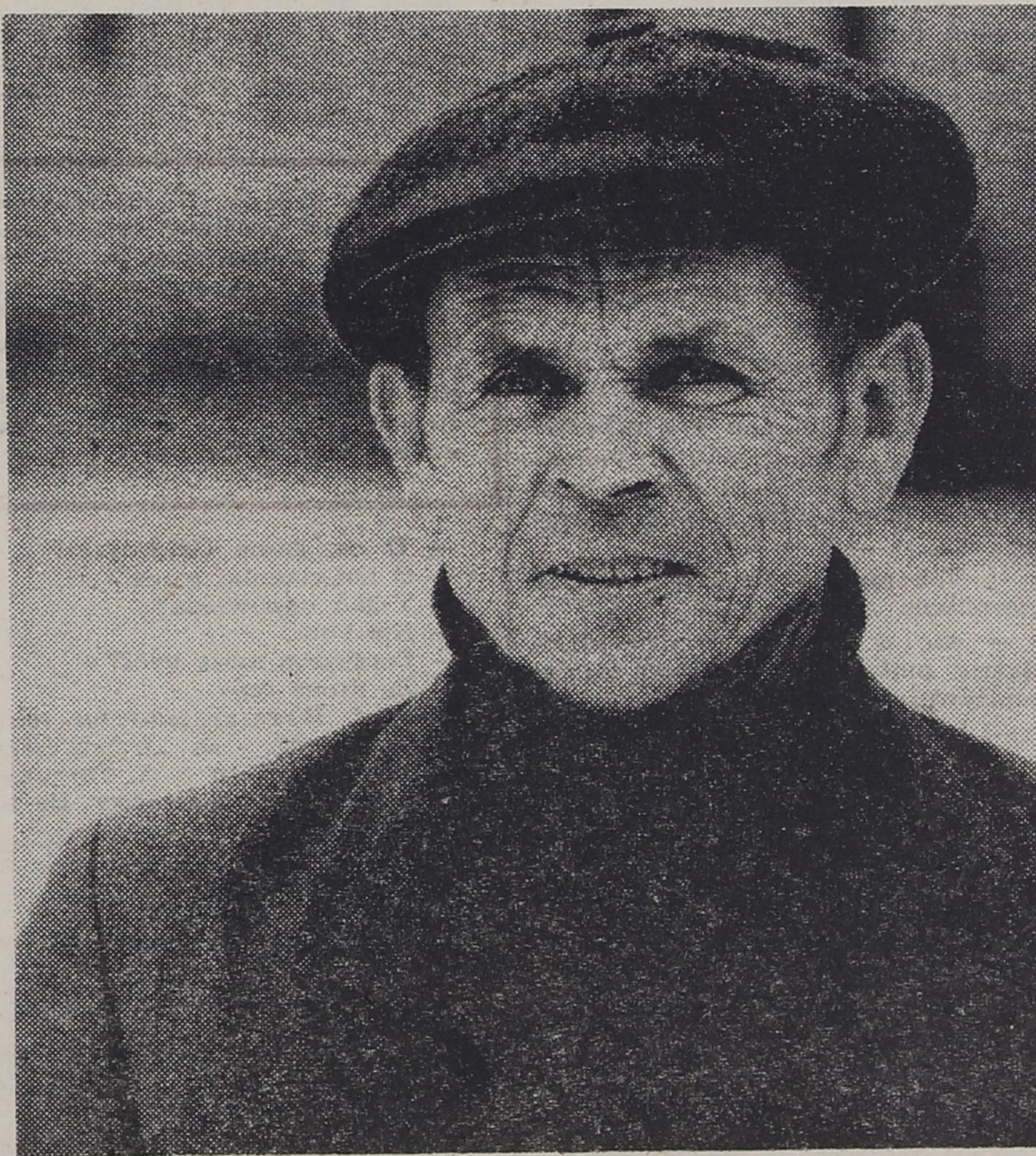
gu spraw dotyczących gminy sami rozwiązywać nie możemy.

— Zmiana tej sytuacji zależeć będzie teraz również od samej wsi. Wszak odradza się samorządność wiejska, powstał Gminny Związek Kółek i Organizacji Rolniczych.

— Jeżeli chodzi o Gminny Związek Kółek i Organizacji Rolniczych, to powołaliśmy go 8 stycznia tego roku. Nie wszyscy rolnicy podchodzą do niego z jednakowym nastawieniem; wielu z niechęcią, bo utożsamiają go z SKR-em. Nie ma się zresztą co dziwić: czasem można odnieść wrażenie, że na samorządzie wiejskim bardziej zależy władzy niż chłopom, bo tworzy się go trochę na chybcika, chyba dlatego aby ubiec „Solidarność Wiejską”. Poza tym: jak się rolnikowi od iks lat obiecywało, a potem się go oszukiwało, to choć robi się niekiedy coś dobrze, nikt już za bardzo nie wierzy. Kółka rolnicze, owszem, mogą przyciągać ludzi, ale jedynie nawiązaniem do dawnej kółkowej tradycji. Niektórzy łapią się na pieniądze, bo kółka mają otrzymać do swej wyłącznej dyspozycji należną część z funduszu rolnictwa, i już się cieszą. Ale nie bardzo się orientują, ile tego będzie, a jest raptem kilkadziesiąt tysięcy. Co dziś może zrobić jedna wieś za te pieniądze, gdy, przykładowo, kilometr dro-

Z ROLNIKIEM INDYWIDUALNYM, SOŁTYSEM WSI ANDRZEJEWO, TADEUSZEM MROZOWSKIM, ROZMAWIA WŁADYSŁAW TOCKI

chłop śpi



a w polu
rośnie

gi-żwirówki kosztuje milion, milion trzysta tysięcy?

— Wspominał pan o „Solidarności Wiejskiej”. Jaki jest pański stosunek do tego nieoficjalnego organizmu samorządowego?

— Myślę, że jeśli na wsi każdy będzie ciągnął za swój koniec, to nic z tego dobrego nie wyniknie. Nam nie potrzeba dwóch, trzech, pięciu organizacji chłopskich. Niech będzie jedna, ale z autorytetem u ludzi, władzą, a przede wszystkim — u rządu. I nieważne, jak się będzie nazywała; ważne, by z jej zdaniem liczył się i rząd, i władza na niższych szczeblach; by mogła mówić o naszych sprawach i była wysłuchiwana.

— Na zakończenie jeszcze jedno pytanie: czy ma pan następcę?

— Mam nadzieję, że syn, który chodzi do siódmej klasy, nim będzie. Przynajmniej teraz mówi, że zostanie. Aby za parę lat nie zmienił jednak zdania, powinny być spełnione przynajmniej dwa warunki: ja muszę mu zapewnić dobry stan gospodarstwa, które po mnie przejmie, a państwo — tak dobra atmosferę dla rolnictwa, jak dobre jest moje gospodarstwo.

— Dziękuję za rozmowę.

Fot. GABOŃ LÖRINCZY

kontakty kontaktów

7
KONTAKTY
22 III 1981

Nieróbstwo czy sabotaż?? Pytanie to dotyczy działalności Komisji Lecznictwa Uzdrowiskowego przy Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Łomży.

W dniu 17 VI 1980 r. został przesłany pod adresem tejże komisji wniosek o skierowanie mnie na leczenie sanatoryjne, sporządzony przez lekarza-internistę. Do wniosku dołączone były konieczne wyniki badań laboratoryjno-analitycznych, rentgenowskich i elektrokardiologicznych. Przez ponad pół roku nie miałem odpowiedzi, toteż wysłałem list z zapytaniem o losy mojej sprawy, który również pozostał bez odpowiedzi. Wreszcie 10 II br. otrzymałem zwrot mojego listu, wniosku i pismo Wojewódzkiego Zarządu Oddziału Polskiego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów w Łomży z prośbą o uaktualnienie wyników badań.

Okazało się, że PZERII w dniu 23 I br. otrzymał z Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego aż 21 przeterminowanych wniosków o skierowanie na leczenie sanatoryjne i chociaż posiadał skierowania, za późno już było na ich wykorzystanie.

Wynika stąd, że w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym panuje bałagan, nikt nie liczy się z ciężką pracą lekarzy rejonowych i wysokimi kosztami niepotrzebnie powtarzanych badań. Co na to dyrektor Szpitala, przewodniczący Komisji i dyrektor Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej? Zainteresowanym chętnie udostępnię dowody rzeczowe tej sprawy.

A na koniec dodam tylko, że nie było żadnych przeprosin ze strony osób, które zawiniły.

STEFAN MODZELEWSKI
Wysokie Mazowieckie

★

Mieszkam w bardzo niepospolitym bloku (Łomża, ul. Turlejskiego 5), jedynym w swoim rodzaju w województwie, a może nawet w kraju. A wyróżnia się on tym, że dwa razy w tygodniu tuż pod oknami odbywają się targi. I jakby jeszcze tego było mało, kierowcy zrobili sobie jezdnię przez podwórko, a palacze ze znajdującej się obok kotłowni — wysypisko popiołu i żużlu. Często, czyszcząc paleniska, wysypują tu także żar.

Aż dziw, że dotąd nie było poważniejszego wypadku. Przecież dzieci potrzebują się gdzieś bawić, a tu grozi im, z jednej strony, przejechanie przez samochód, z drugiej — poparzenie.

(Nazwisko do wiadomości redakcji)

★

Trudno jest mówić o rzeczach przykrych zwłaszcza wtedy, gdy dotyczą zakładu, którym się kieruje. Wybryk młodzieży na sztuce „Śluby panieńskie” był zaskoczeniem dla całej rady pedagogicznej. Nie możemy wybielać sprawy; wina leży zarówno po stronie młodzieży, jak i po stronie szkoły. Podjęliśmy cały szereg prac wychowawczych, a w stosunku do osób winnych wyciągniemy konsekwencje.

Dyrekcja szkoły zapewnia redakcję „Kontaktów”, że w przyszłości podobny incydent nie będzie miał miejsca.

mgr MARIAN JASKOWIEC
dyrektor
Zespołu Szkół Mechanicznych
w Łomży

★

Od red.: Pana Zygmunta J. ze Szczuczyna informujemy, że brak zainteresowania redakcji jego listami nie wynika z niechęci do zajęcia się ich tematyką. Wszystkie nadsyłane przez Pana listy były bowiem anonimowe i tylko z tego powodu żaden z nich nie został wykorzystany w piśmie. Życzymy Panu więcej odwagi w walce o słuszną sprawę, bo oskarżenie nas o wygodnictwo było bezpodstawne.



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

- Daleko? Z Łomży?
- Zza Wrocławia.
- Sam pan jeździł?
- Sąsiada brat pojechał, to i nam przywiózł.
- Bez kłopotów?
- Na zaświadczenie, że nie ma sprzętu i że nie na handel.
- Rozrzutnik dwuosowy. Ile on kosztuje?
- 83,5 tysiąca, zdaje się.
- Plus koszty transportu, tak?
- Dwanaście, czternaście tysięcy. Jak się zdarzy.
- Na piwo też trzeba dać?
- No, nie...
- A gdzie zdobył pan rozrzutnik?
- W Sztumie, pod Gdańskiem. Pojedzie się, a tam leżą na składnicy, bywa, że i dwa lata. Jak jest okres, to idzie wolna sprzedaż.
- Jak pan wynalazł te miejsce?
- Jeździłi niekiedy.
- I co pan jeszcze kupił?
- W Łomży plugi, brony i wiązałkę.
- A w gminie?
- Nic.

Najbardziej korzystna dla rolnika była polityka państwa w latach 1971-1975 (45,2 proc.). Dużo mniejszy odsetek ankietowanych podawał inne lata: 1956-1963 (17 proc.), 1976-1980 (7,1 proc.), 1964-1970 (6,6 proc.), 1944-1948 (4 proc.), 1949-1955 (2,3 proc.). Aż 10,8 proc. osób nie potrafiło udzielić odpowiedzi. Najmniej korzystne z tych samych względów okazały się lata 1976-1980 (39,4 proc.), następnie: 1949-1955 (27,9 proc.), 1944-1948 (8 proc.), 1964-1970 (3,5 proc.), 1956-1963 i 1971-1975 (po 1,5 proc.).

- Pan chodził do poprzednich naczelników o sprzęt?
- Tak.
- Z jakim skutkiem?
- Innym dali.
- Czym motywowali?
- Zawsze nie starczyło.
- Może są od pana lepsi w gminie?
- Nie, chwalili się zawsze moim gospodarstwem, stawiali za wzór.
- Ale maszyny żadnej nie dali?
- Nie, tylko ten siewniczek i wiązałkę.
- Ten cyklop skąd?
- Zeszłego roku dostałem z województwa.
- A kopaczka?
- Też z województwa.

- A ta maszyna?
- Też.

Według 32,7 proc. ankietowanych obecna polityka państwa spowoduje pewien spadek produkcji rolnej, według 21,6 proc. — pewien wzrost produkcji rolnej, według 16,7 proc. — znaczny spadek produkcji rolnej, a według 13,2 proc. nie będzie miała w ogóle wpływu na tę produkcję. Tylko 2,9 proc. przewiduje znaczny wzrost produkcji rolnej w wyniku obecnej polityki państwa.

Środa w Jedwabnem to dzień jarmarku, ubijania interesów, zwiększonych obrotów w „Relaksie” i dłuższych kolejek w Urzędzie Gminy. Naczelnik, Janusz Koszewski, przyjmuje tego dnia około setki interesantów. Większość z nich to starzy bywalcy. Część pojawia się uparcie w każdą środę. Zawsze z tą samą nadzieją na pomyslniejszą wiadomość. Po siedmiu miesiącach pracy zna już naczelnik właściwie wszystkich.

- Co potrzebne, panie Morawski?
- Różnie, ale najpierw sadzarka.
- Gospodarstwo specjalistyczne?
- Specjalistyczne? No... nie, panie, musi wyrzucić mnie. Bydła miałem mało. Ale teraz znowu zaczynam.
- Wasza wieś stoi najgorzej w inseminacji. Ustaliliśmy wcześniej, że rolnicy, którzy nie inseminują krów, w tym roku poczekają. Ale pana nie widzę na czarnej liście. Ile pan sadi ziemniaków?
- Gdybym miał czym...
- A młody rolnik jest w domu?
- Jest. Toż właśnie ja go chcę tym usidłać. Inaczej ucieknie cholera.
- Ile hektarów?
- Tych prawidłowych będzie 15, a lewych to i więcej.
- Jakich lewych?
- No, takich, że na umowę.
- Podatki płaci za nie?
- Jasne, że płaci. Nawet więcej, bo dwa razy.
- A zboża ile pan kontraktuje?
- Wiele ja kontraktuję. Podnosić hodowlę i zboże zdawać, to jak? Albo w jedną, albo w drugą stronę.
- Też racja. No, nie. Czekać cierpliwie.
- Ale w którym, w osiemdziesiątym piątym? Pan już na jesieni zapisywał i obiecywał.
- Ja wszystkim obiecuję...
- ...i nie dotrzymuję.
- Trzeba ludzi jakoś podtrzymać na duchu.

Rozwój produkcji w rolnictwie indywidualnym utrudnia najbardziej brak maszyn rolniczych (73,2 proc.). W rejestrze utrudnień następne miejsca zajmują: zbyt niskie ceny skupu w stosunku do kosztów produkcji (54,6 proc.), czasochłonność załatwiania spraw w urzędach i instytucjach (50 proc.), brak rak do pracy (42,3 proc.), prowadzenie gospodarstw przez ludzi starych (17,6 proc.), niskie kwalifikacje pracowników obsługi rolnictwa (7,1 proc.), prowadzenie gospodarstw przez kobiety oraz lenistwo i wygodnictwo rolników (po 3,4 proc.), zbyt wiele gospodarstw chłoporobotniczych (2,6 proc.), niskie kwalifikacje rolników (2,3 proc.), tradycjonalizm chłopski (1,1 proc.).

- Pani Godlewska po kopaczkę? Na syna ma być? Według kryteriów nie przysługuje.
- Dlaczego?
- Bo jeżeli jedna maszyna na dwa lata...
- Przepraszam, panie naczelniku. Co dostałam od wojewody, to jest moja sprawa. Od pięciu lat za tym chodzę. Wojewoda powiedział synowi: „Jeżeli zostaniesz na gospodarstwie, co ci przydzielę”.
- Jest jeszcze jeden młody rolnik po technikum. Nie podzieliłby się z nim jedna kopaczka?
- Nie. Tam są bardzo złe drogi. Gdyby było chociaż obok, po sąsiedztwie, ale tak... Mogłoby się zdarzyć, że i on chce kopać, i ja. Zanim się w 2-3 godziny przeprowadzi maszynę...
- A gdyby tak zrobić tajne głosowanie, to kto, pani zdaniem, by dostał?
- Ja nie chcę w ogóle, żeby pan naczelnik przyjeżdżał i skłócał naszą wieś. Mielimy już tak raz, teraz jest spokoj. Nie trzeba zaczynać od nowa.

Rolnicy uważają, że mieszkańców wsi i miast znacznie różni stan posiadania. Według nich, w mieście ludzi bardzo zamożnych jest 22,2 proc., podczas gdy na wsi — tylko 12,1 proc.; raczej zamożnych (wg powyższej kolejności) 32,5 i 28,3; raczej niezamożnych — 28,1 i 37,2, a niezamożnych — 17,1 w mieście, na wsi natomiast aż 22,5 proc.

- O co, panie Grabowski?
- O ten ciągnik, panie.
- T-25A odpowiada?
- Nie tam.
- Fergusson może być?
- Za droga cena.
- Ależ. Wczoraj jednemu rolnikowi oferowali za „trzydziestkę” 260 tysięcy złotych. A Fergusson jest o pięć koni mocniejszy. Ile ma pan hektarów?
- Będzie ze trzydziści.
- Młody rolnik jest?
- Jest.
- Ma kwalifikacje rolnicze?
- Ma.
- Do rolniczej szkoły chodził?
- Do szkół.
- To znaczy, że do rolniczej nie.
- Ano nie. Ale chodzi na jakieś kursa w Jedwabnem.
- To może radziecki ciągnik odpowiada? Nie, u was ciężkie ziemie. Panie Grabowski, szczerze panu mówię: na razie nie obiecujemy. Musimy najpierw dać na gospodarstwa specjalistyczne.

Na pytanie: „Czy w waszej gminie działa samorząd?” — twierdząco odpowiedziało 9,2 proc., przecząco — 50,2 proc.; 40,6 proc. ankietowanych nie potrafiło podać żadnej odpowiedzi. Ale aż 81,7 proc. opowiedziało się za powstaniem związku rolników.

Chłopi wiedzą najlepiej, ile trzeba „posmarować” i komu. Każdy naczelnik ma swoją taryfę i, wiadomo, poniżej nie da się skusić. Walą więc chłopi prosto z mostu i... płacą na Fundusz Ochrony Zdrowia, bo, okazuje się, tego naczelnika rozgrzyść jeszcze nie zdołali. Ale nie ma tego złego... Skoro naczelnik musi już na coś postawić, może i na wrażliwość społeczną. Płacą więc chłopi przez przypadek, a w zamian otrzymują błogosławieństwo i zapewnienie, że nie zostaną zapomniani przy podziale. Na razie, póki jeszcze rozumieją to jako naciąganie naiwnych, jakaś tam część kłopotu z głowy, ale niechby tylko wykalkulowali, że

opłaca się im ten podatek od wzbogacenia, zwałiliby się naczelnikowi nie we stół, lecz w pełnym komplecie z sześćdziesięciu wsi gminy.

Nie jest to rozważanie całkiem serio, nie jest też zupełnie żartem. Naczelnik postawiony w sytuacji nalewającego z pustego w próżnię, musi umieć zdobyć się na spore poczucie humoru lub, choćby mglistą, zarysowaną, koncepcję działania. Całkiem nieźle, jeżeli zdoła się na jedno i na drugie, chociaż w sumie ani to, ani tamto nie gwarantuje mu jeszcze minimalnego nawet sukcesu. Gmina Jedwabne znajduje się w sytuacji, ponieważ uprzywilejowanej. Nie dysponuje wprowadzić nadprogramowymi maszynami, ma natomiast dowcipnego naczelnika i aż dwie propozycje rozwiązania problemu dzielenia tego, czego nie ma.

Zgodnie z pierwszą, prezesa Gminnego Zarządu Kolek Rolniczych, Jana Zawadzkiego (wypróbowaną uprzednio w Kamionkach), całość kompetencji miałaby przejść w ręce samorządu wiejskiego. Co



zresztą już gdzieś indziej się przytrafiło, z różnym, na dodatek, jak się okazuje, skutkiem. We wsi Janeczko np. zadziałały tzw. partycularne rodzinne. Samorząd wiejski, dość zgodnie, podzielił maszyny między siebie i swoich najbliższych, czym, niestety, naraził się pozostałej części wsi. Z kolei w Karwowie stwierdzono, również zgodnie, że od dzielenia jest Urząd Gminy, i zrezygnowano z przysługujących przywilejów. (Być może dlatego, że wieś ta nie dopracowała się jeszcze własnego samorządu). Ogólnie — pierwsze doświadczenia zdają się wskazywać, że propozycja jest niezła, ale tylko we wsiach dysponujących znaczną ilością sprzętu, a więc tam, gdzie wskazanie dwóch lub trzech najbardziej potrzebujących nie powodowałoby automatycznie poróżnienia wszystkich mieszkańców.

Druga koncepcja narodziła się tuż pod boki naczelnika. Pracownica Urzędu, pani inż. Barbara Mieczkowska — zaproponowała — dość szczegółowo opracowany — system mierników i związanej z nimi punktacji, premiującej stan istniejący i pożądanego kierunku rozwoju gospodarstwa rolnego. Są to: — efektywność gospodarowania, wyrażająca się wartością produkcji sprzedanej z jednego hektara użytków rolnych oraz stopniem realizacji przekształcenia gospodarstw w specjalistyczne, ze szczególnym premiowaniem tych, które osiągają kryteria ministra Rolnictwa,

— mierniki mające bezpośredni wpływ na efektywność gospodarowania, a więc obszar użytków rolnych, siła robocza, stan zdrowia i wykształcenie,

— mierniki społeczno-socjologiczne, czyli preferujące rolników oraz aktywnie uczestniczących w pracach społecznych

Wszystko to podporządkowane byłoby założeniom ogólnym, zgodnie z którymi rolnik mógłby otrzymać maszynę najwyżej raz na dwa lata. Każdy z wymienionych mierników wyrażany jest odpowiednią liczbą punktów i tak np. za hektar użytków rolnych przyznaje się 1 punkt, za osiągnięcie kryterium Ministra



Rolnictwa — 10, wykształcenie średnie rolnicze — 10, wykształcenie nie wyższe — 15, pracę społeczną — 5, I grupę inwalidzką — 15, II grupę inwalidzką — 10 itd. Suma punktów dla każdego gospodarstwa rolnego miałyby wyłonić to najbardziej potrzebujące i jednocześnie najbardziej uprzywilejowane z racji przyjętego sposobu i kierunku rozwoju.

Nie jest to, oczywiście, propozycja bezdyskusyjna. Jak każda inna — zawiera wiele mankamentów. Nie przystaje więc np. do sytuacji pozornego realizowania specjalizacji (w chwili obecnej na terenie gminy 54 gospodarstwa kwalifikują się do odebrania kart), która jest wynikiem premiowania sprzętem gospodarstw deklarujących wspomnianą specjalizację (co nie jest równoznaczne z jej wprowadzaniem). Specjalizację bowiem wprowadza się lub wprowadzało do tej pory w sposób automatyczny, zgodnie z narzuconym planem, bez jednoczesnego oparcia w środkach produkcji.

Proponowana koncepcja głos de-

dwie „Agromy”. Jak zaczęli dochodzić, pod co my podlegamy, to się zdziwili: „Pan głupiego robi z siebie albo z nas”. Ja mówię, że nie wiem, chciałem tylko ciągnik kupić. Drugich dwóch się sprawa za-interesowała, ale w końcu zadecydowali, że im potrzebne zlecenie, a nie zaświadczenie. I dopiero sprzedadzą. Kierownik uciekł, bo wiadomo, że ośmiu godzin nie usiedzi w tym biurze, a sekretarka wtedy powiedziała, że już rozprowadziła.

Inż. Mieczkowska zdaje się rozumieć wszystkie tarapaty: — Jeżeli w Starosielcach wymagali zlecenia, to znaczy, że nie było sprzedaży wolnorynkowej.

— Była, była! Ale rozprowadziła. Jeden chłop poszedł za facetem do ubikacji i kupił.

— Tobie też trzeba było iść.

— Oho, próbowałem, ale oni się zamknęli.

No, trudno, żadnego chętnego nie ubył. Pani inżynier zaczyna odczytywać podania.

— Ja bym chciał najpierw dostać ten ciągnik — zaczyna nieśmiało Godlewski w imieniu swoim i syna.

— Ale co o tym powiedzą pana sąsiedzi?

— A kto powie, że się komuś nie należy? Bez ciągnika co ma zacząć gospodarz? — pozostali optują zdecydowanie za Godlewskim. — Nam we wsi najmniej dwa potrzeba. A na innych wsiach są takie, że jeden mają i już na drugi się zapisują.

— Przypuszczalnie tacy, którzy mają stare, zużyte — stanowisko pani inżynier również nie jest pozbawione racji.

— U nas też mają stare, z kasacji, ale nikt się nie upomina, kiedy inni wcale nie mają. Ja jestem młody rolnik, to chyba mogę się ubiegać.

— Mam zapisać, że Rydzewski Tadeusz też w pierwszej kolejności?

Zainteresowany kiwa głową, a starszy sąsiad objaśnia: — Pisać trzeba, że w pierwszej kolejności. Toć my i tak wiemy, że zanim ta pierwsza kolejność dojdzie do naszej wsi, to dużo upłynie.

— Ale jakąś kolejność trzeba ustalić. Grabowski Jan będzie trzeci. Dąbrowski Jan czwarty...

— A ja, Chrostowski Aleksander, mogę być piąty. Żeby nie powiedzieć, że nowy sołtys pierwszy się pcha.

cydujący w rozdziale maszyn przyznaje komisji, w skład której wchodziłoby: członkowie prezydium Gminnego Związku Kółek Rolniczych, przewodniczący Gminnej Rady Narodowej, prezes ZSL-u, przedstawiciel Komitetu Gminnego PZPR, przewodniczący organizacji młodzieżowej itd. Głos konsultacyjny natomiast należałby do samorządu wiejskiego, który przedstawiałby komisji własny punkt widzenia i własne kandydatury. To, co w tej chwili zaczyna się dziać w gminie Jedwabne, nosi miano konsultacji.

Wies Chrostowo: 17 gospodarstw i aż 11 podań o rozmaity sprzęt. W jakim tonie mogą przebiegać konsultacje?

Wszyscy czekają na przyjazd inż. Mieczkowskiej. Przed chwilą zakończyły się wybory nowego sołtysa. Poprzedni zrezygnował dobrowolnie.

— Jestem już za stary. Trzeba by na rentę. Niech każdy trochę porządzi.

— Gierkiem go przezywali, więc mówi: „Jak on odszedł, to i ja”.

— Nowy sołtys sołtysował już kiedyś, był też i radnym, ale ponieważ nie bardzo się podobał, więc go wymanewrowali. Lepszy okazał się ten z „teczki”.

— Spróbuję teraz, może coś się odmieniło. A jak zrozumieć, że nie, to rzuć ja to wszystko w cholerę. Przedtem co my by tu nie gadali, nigdy wyżej nie doleciało. O te mury się obijało i między nami ostawało. Ci, co do nas przyjeżdżali, język mieli do dołu, a uszy do góry. Do nas gadali, ale nas już nie słyszeli.

Rozmowy cichną, gdy inż. Mieczkowska wyciąga plik podań: — Chciałabym, aby nowo wybrany samorząd zaopiniował podania o maszyny rolnicze. Wydaje mi się, że w międzyczasie niektórzy z ubiegających się już zdobyli jakiś sprzęt. Pan Eugeniusz Chrostowski gdzieś jeździł, prawda?

— Ano jeździłem. Ten nasz cały Urząd i służba rolna chcieli chyba zrobić ze mnie głupiego. Powiedzieli, że w Grajewie ciągnik można kupić. Grajeńska składowa podlega pod Białystok, a tam sa-

— Ja też się nie pcham, choć maszyn mi potrzeba, ale nie napisał, bo się boję, że mnie nie przyznają. Pisałbym i o rozrzutnik, i o kopaczkę, ale jak nie mam ciągnika, to chyba nie przyznają, pani magister?

— Oczywiście, że nie. Maszyn nie ma tyle, żeby je rozdzielać tym, którzy z tego nie skorzystają. Aby nie była źle zrozumiana: proszę pamiętać, że to, co dziś ustalicie, nie jest równoznaczne z przydziałem. Na przykład ciągników przyjdzie na gminę kilka, a wsi jest 60. Do większości z nich ciągniki nie trafią. Z innymi maszynami też nie jest lepiej. Dlatego państwo powinniście typować tych, którzy mają największe szanse uzyskania maszyn w 1981, 82, 83... 90 roku.

— Oho, czekać 10 lat, to już lepiej od razu tę gospodarkę rzucić. Przecież u nas nie ma takich bogatych, co by wszystkie maszyny mogli wykupić. Ale całkiem bez maszyn nie da rady.

Nikt jakoś nie gorączkuje się co do kolejności przyznawanych kopaczek, sadzarek, rozrzutników. Kandydatury padają spokojnie, prawie od niechcenia. Co to za różnica — za 8 czy 9 lat.

W kacie przyciszona rozmowa.

— Pojechałem wczoraj do Gminy. Siadłem w kolejce. Czekam. Podchodzi jakiś gość. „Może byście tak czapczkę zdjęli” — zagaduje. Rozglądnąłem się dla pewności i mówię: „Krzyża tu nie widzę, co bym miał czapkować”. Uparł się jednak. Albo zdejmę, albo do naczelnika nie puszczę. To zdjęłem. Inni też. U naczelnika zacząłem dominać się o ten ciągnik, bo to i w radiu, i w telewizji gadają o preferencjach dla młodych rolników. On mi na to, że preferencje są, a narzędzi nie ma, i że dostane na pewno, ale nie wiadomo, za ile lat.

DANUTA i ALEKSANDER WRONISZEWSKY
Fot. GABOR LÖRINCZY

Dane w ramach z ankiety „Rolnicy o rolnictwie”, przeprowadzonej na przełomie listopada i grudnia 1980 r. przez Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN. Podajemy za „Politykę” nr 10/81.



spiećcia



Na miesiąc przed szpakami i bocianami zaroily się „pszczołki” wokół barowozu przy ul. Swierczewskiego (obok Wiejskiego Domu Handlowego) w Łomży. Spijają nektar wprost z butelek, brzęczą optymistycznie i z nadzieją na szybszą wiosnę użyźniają okoliczną ziemię. Skąd bowiem mają wiedzieć, że uryna spala pędy roślin. Lepiej byłoby ustawić takie ule z piwem w pobliżu obiektów łatwopalnych, ponieważ strażacy, po ostatnich śniegach w limicie paliwa, nie wszędzie dojadą.

★

W całym północno-wschodnim makroregionie nagminnym zjawiskiem jest wypychanie się P.T. Klientów do miejsc użyteczności publicznej, bez uprzedniego przepuszczenia wychodzących, mimo że nie wymaga to kultury, jedynie odrobiny wyobraźni. Mamy nadzieję, że funkcję rozsądnego regulatora ruchu w nowym grajewskim SAM-ie pełni ta jedyna klamka — od wewnątrz.

★

Aż 80 proc. sprzedawanych telewizorów kolorowych marki Jowisz wraca szybko do naprawy. Proponujemy przerobienie ich na bumerangi; przynajmniej będzie wiadomo, w co się gra.

★

Łomżyński „Polmozbyt” wabi napisem „Myjnia czynna”, po czym się okazuje, że „myjnia” składa się z dwu rąk jego pracownika oraz szczotki lub gąbki klienta. Oplata jak za prawdziwą — 46 złotych.

★

To, co ostatnio kupujemy jako śmietanę, niegodne jest nawet miana wody z mlekiem.

★

Są nowe wieści z Kossaków Nadbielnych (gmina Rutki). Głoszą one, że sołtys rządzi tam nie sześć, lecz dwanaście lat, a trzecią kadencję zapewniło mu zaledwie czterech rolników. To my się pytamy, gdzie w tym czasie było 28 pozostałych?

★

Gabinet kosmetyczny w łomżyńskim osiedlu Jantar zaopatrzono w skrzynkę, w którą — za rozmowę telefoniczną — klientki muszą wrzucić po dwa złote. Aż nadto „Praktyczna” wydaje nam się ta „Pani”.

★

Wszyscy naczelnicy w województwie łomżyńskim zostali zobligowani do zostania honorowymi strażakami. Całe szczęście, że obligujący nie dostał wcześniej słabości np. do munduru górnika albo kilku jednocześnie!

★

Władze wojewódzkie, w ramach zamierzonej redukcji etatów, rozważają alternatywę usunięcia ze stanowisk wszystkich architektów, bo i tak w swoim przedmiocie nie mają nic do powiedzenia, i przekazania ich uprawnień jednemu z wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, którzy dotychczas w tej dziedzinie rzeczonych architektów społecznie zastępują. Decyzja w tej kwestii zapadnie w dniu 1 IV br.

★

Co się w tym Goniadzu znowu porobiło? Do zamkniętej od wielu dni księgarni dołączyły 6 marca (piątek przed wolną sobotą) dwa sklepy spożywcze i zabawkarski. Zaczynamy w głowę, czy wyłączono je z handlu: a) z braku ekspedientek, b) braku klientów, c) niedostatku towaru? A może Dzień Kobiet rozrósł się w zdrowym goniadzkim klimacie w trzydniówkę?



— Myślę, Adasiu, że mógłbyś u nas wypocząć.

— Od czego?

— Od obrazów, od nadmiaru obrazów.

— Moi przyjaciele twierdzą, że nic nie tworzę. A zresztą — może... Maks tak twierdzi... Może zdołałbym wypocząć.

— W rzeczy samej, Adasiu, te nasze pola podolskie zrobiłyby ci świetnie... Potem nagle pole się urywa, pole najbujniejszej pszenicy... i otwiera się jar. Dołem rzeka. Woda w nich jest przezroczysta i jasna. Lud prosty —

— Tak, można by...

— Mógłbyś odżyć, oderwać się.

— Można by... i tamtym ludziom... — ale tu większa nędza.

— Adasiu, właśnie chcę ci pomóc. Pisano mi już, że zapadasz...

— To zależy.

(Wychodzi wuj Józef)

— A, Adamie...

— Wuju...

MARYNIA: Doskonale, że wuj przyszedł. Usiłuję nakłonić Adasia, aby jakiś czas zechciał spędzić u nas w Kudryńcach.

WUJ JÓZEF: To świetnie. Adamie, to świetnie. Zobaczyłbyś mój sierociniec.

ADAM: Tak?

WUJ JÓZEF: No właśnie. Chłopskie dzieci. Sieroty. Poniekąd w tym objawił mi się cel mego życia. Zresztą nie mogło być inaczej. Wszystko mnie zawiodło. Tymczasem te dzieci przywiązały się do mnie jak do ojca.

Widzisz Adasiu, musimy schodzić w dół. Najwyższy czas na to zrównanie. Takie cięża na nas przewinę... takie zaniedbania...

ADAM: Rzeczywiście; chociaż mam nieco inne ujęcie...

WUJ JÓZEF: No oczywiście, Adasiu. Wiem, że jesteś malarzem.

ADAM: Niezależnie od tego... Bo na przykład, co wuj sądzi o celu takich przedsięwzięć?

WUJ JÓZEF: Czegóż chcesz? Czyni się dobrze. Biedactwa zadowolone — i ja... Człowiek się uwalnia spod brzemienia, spod uciążliwego brzemienia jakiejś odpowiedzialności. To wszystko dawno pozaczęgali, pozawlekali. Dzisiaj ciebie dręczą wyrzuty...

ADAM: To bardzo prawdziwe. — A jednak, gdyby nie owe wyrzuty —

(Adam niespodziewanie stał się cierpki. Wuj wyczuł to.)

WUJ JÓZEF: Czegóż chcesz? To jest całkiem teoretyczne gadanie, mój drogi. Te wyrzuty są koniecznością historyczną...

ADAM (tym samym cierpkim tonem): Ejże. Aż tak? —

WUJ JÓZEF: ...społeczną

ADAM: Proszę...

WUJ JÓZEF: Czemuż kpisz, mój chłopcze? Myślisz, że twoje obrazy wystarczą za wszystko? Poza nimi nie widzisz świata. I myślisz...

ADAM: Myślę coś wręcz przeciwnego. Niemniej takie myślenie na nic się nie przyda... (niespodziewanie zwraca się do siostry): Czy to prawda, Maryniu, że w Kudryńcach ludzie wierzą jeszcze w miłosierdzie?

MARYNIA: Cóż za dziwne pytanie?

WUJ JÓZEF: Właśnie. Co chcesz przez to powiedzieć?

ADAM: Że są to jeszcze ludzie o bardzo pierwotnej prostocie obyczajów.

WUJ JÓZEF: Adam, jak ty to rozumiesz? (te słowa były nieco groźne)

ADAM: Nic już, nic. Wuj ma bardzo dobre serce. Zresztą pewnie, trudno, abys się bratał z dziadami...

WUJ JÓZEF: Z jakimi znów dziadami?

ADAM: A prawda, zapomniałem; są to w samej rzeczy dzieci. Sieroty.

MARYNIA: Jesteś straszliwie roztargniony, Adasiu.

WUJ JÓZEF: No właśnie — Więc co? Przyjedziesz do Kudryńca?

MARYNIA: Przyjedzie, przyjedzie na pewno.

ADAM: Jeszcze nic nie wiem. Wuj i Marynia wychodzą. Nie żegnają się nawet z Adamem. Widać, że mają coś do załatwienia w pobliżu.

Adam pozostał sam. Dłuższą chwilę siedzi nieporuszony w swoim krześle. Potem przeciera czoło, podgarnia w górę włosy. Niespodziewanie wstaje. Idzie bardzo wolno ku sztalugom. Wiele z nich miją obojętnie. Wreszcie „Ecce Homo”. Czyż nie jest on bardziej od innych obrazem Adama? Staje przed nim i mimowoli pochyla się, jakby ugiął się pod ciężarem tego tematu. Teraz podnosi wzrok i przez chwilę zatrzymuje go na obrazie. Potem mówi bardzo wolno:

— Jesteś jednakże straszliwie niepodobny do Tego, którym jesteś —

Natrudziłeś się w każdym z nich. Zmęczyłeś się śmiertelnie.

Wyniszczyli Cię —

To się nazywa Miłosierdzie.

Przy tym pozostał piękny. Najpiękniejszy z synów ludzkich. Takie piękno nie powtórzyło się już nigdy później —

O, jakież trudne piękno, jak trudne. Takie piękno nazywa się Miłosierdziem.

—

Teraz odwraca się z wolna i błdzi wzrokiem przez chwilę po pozostałych płótnach. Nagle na wargi jego wystąpił uśmiech. I Adam mówi z tym uśmiechem na wargach:

— Dziwna rzecz: chyba żaden z moich przyjaciół w Monachium nie sprawdzał dokładności swego malarzkiego widzenia w legowisku nędzarzy...

Ani żaden chyba na świecie malarz...

A może jednak —

Bardzo dziwna rzecz.

3. Kwęstarz.

Ulica głęboka od mroku. Z głębi też dochodzi odgłos stóp uderzających o chodnik. Są to uderzenia miarowe i oczekiwane nalezycie za każdym razem. Twarzy osoby nie widać, przeszkadza cień drzew, spadający jej do stóp jakby delikatna zastona. W tej chwili wysunął się nieco z mroku dla spotkania kogoś, kto nadchodzi z przeciwnej strony.

— Przepraszam.

— O co chodzi...

— Czy pan nie zechciałby... jakiegoś datku na ubogich z miejskiej ogrzewalni.

Przechodzień mierzy go wzrokiem:

— Nie.

— Przepraszam.

Odsuwa się.

(Tamten postępuje kilka kroków za nim.)

— Powiedziałem panu już szereg miesięcy temu, że to nie jest właściwa droga.

(Kwęstarz dopiero teraz podnosi wzrok:)

— A, to pan.

— Że to nie jest właściwa droga! To nie nasila olbrzymiego zbiorowego gniewu, ale go rozładowuje, rozszczepia jego ostrze.

Tłumaczyłem to panu, pan sobie przypomina.

— Doskonale. Właściwie nigdy nie odszedłem od tamtej rozmowy.

— I cóż? Wszystko w niej jest słuszne i uzasadnione.

— O nie, mój przyjacielu, o nie... Taka odpowiedź dowodzi mi jedynie tego, żeś pozostał sobą. Nie wybrnąłeś ze swoich nastrojów czy kompleksów, nie dojrzałeś do tego, aby przemienić się w rzecznika —

Rozumiesz, nie przejąłeś na siebie ich dążeń, ich wysiłków, ich gniewu, nie utożsamieś się z nimi, nie zatraciłeś się w nich. Rozumiesz. Zostałeś sobą. Patronem żebraków ulicznych i dziadów spod kościoła. Nie przeszedłeś siebie. Nie dojrzałeś do ideału ludzi wolnych (Chwila milczenia)

Zawiodłem się na tobie. Liczyłem, że dojdiesz. Liczyłem na pańską inteligencję. Człowiek inteligentny i uczciwy nie może tych rzeczy ujmować inaczej jak ja.

ADAM: To prawda. Przysiękałem pan zająć się kształtowaniem we mnie owego surowca.

— Tymczasem przeważały w panu sentymenty. Prawda. Zaniedbałem tej sprawy.

— Ktoś inny nie zaniedbał.

— Nędzne wyniki.

— Nigdy nic nie wiadomo. Ale raczej — tak.

— Przestań pan ze swoim spuszczeniem oczu, ze swoim cierpiącym schyłkiem głowy. Mam tego dość. Oni również. Rozumiesz pan? (Adam milczy.)

— Idę dalej, bo czuję, że wzbiera we mnie gniew. Mówiłem ci już o tej odpowiedzialności, jaką zaciągasz wobec rewolucji. Zwodisz ludzi, służysz rozkładowi sił ludu. A czynisz to z całą świadomością.

— Tak jest. Tego możesz być pewny. Czynie to z całą świadomością. Z przeświadczeniem, że taka jest jedyna droga.

— To tylko powiększa twoją winę.

— Przyjmuję —

— Mnie zaś o nic innego nie chodzi: chcę tylko udowodnić ci, że się mylisz. Tak jest. Udowodnię ci zaraz. Chcesz pan?

— Tak jest. Godzę się na to z góry. W jakim sposób zechce pan tego dokonać?

— W sposób bardzo prosty. — Gdzie znajduje się owa ogrzewalnia?

— Nad Wisłą. Ulica Wykret 7.

— Dobrze. Otóż widzi pan. Natychmiast pójdziemy tam obaj. Teraz wieczór. Ludzie wszyscy będą już na miejscu. Przemówię do nich znanym mi językiem —

— Tak.

— Będę mówił do nich o tym, co pańskie czułościowe zabiegi przestroniły w nich i zatamowały. Zobaczy pan, że z tych ludzi podwójnie zdeprawowanych... podwójnie — bo raz nędzą, a dwa — miłosierdziem (to sprawka pana) — że z tych podwójnie zdeprawowanych ludzi ja wydobędę od razu ich ludzki poziom, właściwą warstwę ich człowieczeństwa i cały ten słuszny gniew.

— Przyjmuję warunki.

— Idziemy zatem.

— Zechce pan chwilę poczekać. Nadchodzi jakieś większe towarzystwo. To dla mnie sposobność zbyt cenna. No, rozumie pan przecież?... — Idę naprzód.

(Po chwili znika w mroku.) Adam wychodzi naprzeciw nadchodzącym.

— Państwo darują. Jestem kwęstarzem miejskiej ogrzewalni. Państwo zechcą jakąś ofiarę dla najbiedniejszych...

Ktoś z towarzystwa: — Kto to jest? Inny: — Kwęstarz miejskiej ogrzewalni.

Ten sam: — Ale głos dziwnie znajomy —

MAKS: Adam, to ty? —

ADAM: Maks —

(Chwila wyczekującego milczenia. Zakłopotanie wśród towarzystwa.)

STANISŁAW: Bo my właśnie, Adasiu, odprowadzamy panią Helenę po premierze.

(Adam milczy.)

JERZY: Po ogromnym tryumfie. Takiej Ofelii nie widział jeszcze Europa.

(Znów milczenie.)

LUCJAN: Jak dziwnie jednak zabrzmiał twój głos, Jerzy, w tej pustce.

STANISŁAW: Jest tu doprawdy jakaś dziwna pustka.

MOKS: Jakieś otamowanie —

JERZY: Jakiś zastój, nie uważacie —

MAKS: Gdzie?

JERZY: Chyba w nas wszystkich. (Przerwa.)

LUCJAN: Ciekawe. Już dawno nie spotkaliśmy się w takim składzie. Ostatni raz — pamiętasz, Adam — w twojej pracowni. Był wtedy również ten jezuita, pamiętacie, ze swoją matką. Przyszedł wozny z rady miejskiej. Potem zjawił się ten jakiś nieznajomy, który z nikim nie zamienił ani słowa, a po naszym odejściu pozostał z Adamem sam na sam —

JERZY: Pamiętam. Potem Adam znikł mi z oczu na szereg miesięcy.

MAKS: O nie. Wiem, że malował. „Ecce Homo” zapowiadał się niezmiernie ciekawie; jakieś nowe możliwości techniczne, nie dociągało i coś przetrastało. Tyle ja wiedziałem odtąd o Adamie. Ale nie przypuszczałem, że...

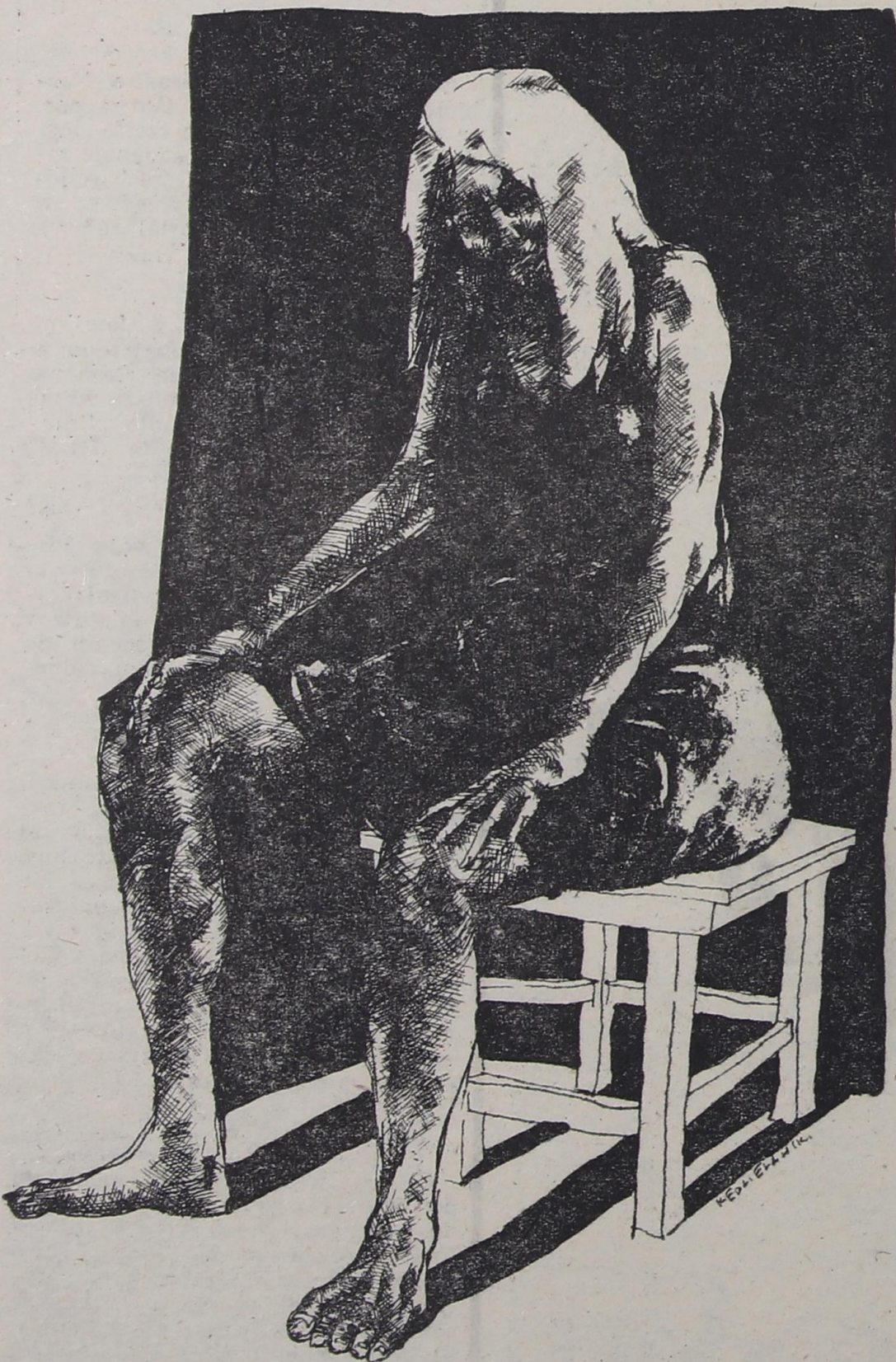
ADAM (po chwili): Ty w rzeczywistości nigdy nie wierzyłeś w sztukę, Maks.

MAKS: Ja? Jak to? Niedawno twierdziłeś coś wręcz przeciwnego.

ADAM: A jednak... Nie wierzyłeś, że obraz jest zdolny rozłożyć człowieka... przetworzyć człowieka —

MAKS: „Ecce Homo”?

ADAM (milczy).



RYŚ. STANISŁAWA KĘDZIELAWSKIEGO



W marcu 1905 roku gubernator dworu carskiego sygnalizował swym kolegom z terenu: „Z posiadanych przez nas informacji wynika, że ostatnio w polskim społeczeństwie ożyły nadzieje odzyskania niepodległości. Nadzieje te rozbudzają członkowie Ligi Narodów. W kraju powstaje towarzystwo „Baczność”, którego celem jest koncentracja sił narodu dla przygotowania się do powstania zbrojnego. Organizowane są tzw. kółka atletyczne (na wzór galicyjskich „Sokołów”), których uczestnicy w odpowiednim momencie mają dostarczyć kadry polskiej milicji. Informując o tym, proszę, by w podległych wam miastach i powiatach nie zezwalać na powstawanie powyższych kółek”.

Surowa kontrola władz carskich nie przeszkodziła jednak w powstawaniu na terenie guberni łomżyńskiej nowych organizacji społecznych, które pod płaszczykiem legalności realizowały cele narodowe — dalekie od deklarowanych w statu-

tyku chrześcijańskim — „le i święta” — policmajster łomżyński zalegalizował jedynie trzy ostatnie. Działalność Związku była uważnie obserwowana przez policję. A jednak jego członkowie doprowadzili do utworzenia w Łomży m.in. przytulku dla dzieci, którym kierował ksiądz Franciszek Kołomyjski i w którym próbowano uczyć w języku polskim. Kilkakrotnie upomnienia doprowadziły do przerwania (przynajmniej oficjalnie) zajęć szkolnych.

W roku 1910 przy ulicy Krzywej Koło (mieścił się tam również Zarząd Związku) otwarto czytelną publiczną. W rok później — pracownię krawiecką dla „niepełnoletnich” dziewcząt. W jej programie nauczania czytamy: „Celem pracowni jest przygotowanie dziewcząt do samodzielnej, uczciwej pracy. Uczennice zdobywają umiejętność: szycia ręcznego i maszynowego, reperacji odzieży, dziania na drutach, sporządzania guzików z nici, kroju bielizny i sukienek, koronkarstwa, wyrobu pończoch”. Dziewczeta spędzały w pracowni czas od godziny 9.00 rano, do 18.00, z godziną przerwą na obiad.

W październiku 1906 roku rozpoczęło np. działalność Towarzystwo Organistów Św. Stanisława Biskupa, którego celem było: „Podniesienie poziomu moralnego organistów i ich sytuacji materialnej. Uregulowanie i jasne określenie obowiązków i wynagrodzenia organistów, zlikwidowanie wynagrodzenia w postaci tymczasowych darowizn i zamiast tego na stałe pensje”. Towarzystwo miało prawo do otwierania specjalnych szkół dla organistów, kas zapomogowo-pożyczkowych itp.

Swój oddział miało w Łomży, założone 12 marca 1907 roku w Warszawie, Towarzystwo Zjednoczonych Ziemianek. Jego członkinie deklarowały: „Wspólną pracę kobiet polskich, w duchu narodowym, w dziedzinie wychowania społecznego i życia ekonomicznego, dążenie do podniesienia poziomu wykształcenia i etycznego wyrobienia kobiet”. Miały temu służyć: „Badania i studia nad sprawami wychowawczymi, społecznymi i etycznymi, zakładanie i współdziałanie w organizowaniu zakładów, użyteczności publicznej — szkół, ochronek, zakładanie księgo-

W październiku 1907 roku rozpoczęło np. działalność Towarzystwo Organistów Św. Stanisława Biskupa, którego celem było: „Podniesienie poziomu moralnego organistów i ich sytuacji materialnej. Uregulowanie i jasne określenie obowiązków i wynagrodzenia organistów, zlikwidowanie wynagrodzenia w postaci tymczasowych darowizn i zamiast tego na stałe pensje”. Towarzystwo miało prawo do otwierania specjalnych szkół dla organistów, kas zapomogowo-pożyczkowych itp.

Swój oddział miało w Łomży, założone 12 marca 1907 roku w Warszawie, Towarzystwo Zjednoczonych Ziemianek. Jego członkinie deklarowały: „Wspólną pracę kobiet polskich, w duchu narodowym, w dziedzinie wychowania społecznego i życia ekonomicznego, dążenie do podniesienia poziomu wykształcenia i etycznego wyrobienia kobiet”. Miały temu służyć: „Badania i studia nad sprawami wychowawczymi, społecznymi i etycznymi, zakładanie i współdziałanie w organizowaniu zakładów, użyteczności publicznej — szkół, ochronek, zakładanie księgo-

pod płaszczykiem

legalności

tach. Rok 1905, pamiętny z racji zbrojnych wystąpień robotniczych i chłopskich, „zaowocował” w życiu społeczno-politycznym tej ziemi powstaniem 37 nowych związków zawodowych, towarzystw, organizacji, grupujących Polaków. Jeśli przyjrzemy się bliżej ich założeniom i konkretnym działaniom, okaże się, że istniało wiele sposobów na ominięcie carskich zakazów, zabraniających tworzenia załączków polskiego ruchu narodowego.

Przed wszystkim warto wspomnieć o Związku Katolików, powołanym w kwietniu 1908 roku: „Celem Związku jest jednoczenie katolików polskich oparte na nauce Chrystusa, dotychczas wszelkich przejawów życia narodowego, kultury społecznej i ekonomicznej. Związek Katolików kieruje się w swej działalności wskazaniami i postanowieniami zwierzchników kościoła katolickiego. Celem osiągnięcia powyższych zamierzeń Związek Katolików za najpilniejsze swe zadanie uważa: po pierwsze w dziedzinie religii: obronę praw i autorytetu kościoła katolickiego, popieranie powołań kapłańskich, dążenie władz kościelnych zmierzających do reaktywowania klasztorów i kongregacji religijnych i troska o ich warunki materialne, wspomaganie akademii teologicznych, seminariów, zabezpieczenie niezależności materialnej duchowieństwa, dążenie do zwrotu posiadłości klasztornych, kościelnych i szkolnych”.

Istotniejsze były zadania, jakie wyznaczył sobie Związek w dziedzinie „troski o oświatę w duchu katolickim”. Z wymienionych niżej form, mających na celu — przez „uścisną pracę nad likwidacją analfabetyzmu — utworzenie towarzystwa oświaty ludowej, utworzenie szkół katolickich, szczególnie parafialnych i wiejskich szkół ludowych, tworzenie i popieranie katolickich czytelni ludowych, bibliotek, muzeów, tworzenie kółek młodzieżowych, tworzenie katolickich towarzystw naukowych, współdziałanie w organizacji wypo-

W szkole przestrzegano żelaznej dyscypliny. Uczennica, która opuściła kolejne trzy dni zajęć bez należytego usprawiedliwienia, była z pracowni wydalana. Wyrzucano też uczennice „za złe zachowanie, lenistwo i upór”. Nauka trwała od 4,5 do 6 lat. Przyjmowano do pracowni dziewczynki 3-letnie. Te, które wyróżniały się zdolnościami i pracowitością, otrzymywały trzy czwarte wynagrodzenia za swą pracę. Pozostałą część należności przekazywano do Kasy Przemysłowców na książeczkę imienną uczennicy. Dostawała ona zebrana w ten sposób kwotę (wraz z oprocentowaniem) po ukończeniu nauki.

Działalność charytatywna Kościoła miała, jak wiadomo, głębokie, światopoglądowe uzasadnienie. Ale to już należy do historii całych formacji społecznych. A my zajmujemy się tu przeciwieństwem — jedną gubernią.

W innej sytuacji były towarzystwa mające charakter związków zawodowych. Ciążyła na nich opinia władz carskich, iż „dążą do przechwycenia, niezależnie od poglądów politycznych, wszystkich robotników chętnych do walki o swe interesy i prowadzenie ich do coraz głębszego zrozumienia warunków spełnienia ich dążeń”. W związku z taką taktyką partii rewolucyjnych i socjałdemokratycznych w stosunku do związków zawodowych „nie ulega wątpliwości, że czytając przyczyną wszelkie posunięcia rządowe w stosunku do tej lub innej organizacji związkowej, będącej pod wpływem podziemnej agitacji spotykają się z protestem [...]. Konieczne staje się prowadzenie obserwacji kierunku działania towarzystw związkowych i związków oraz energicznej walki z przestępczą działalnością partii rewolucyjnych”.

Brak w dokumentach policmajstra danych poświadczających fakt wpływu socjaldemokratów na działalność związków zawodowych. Można się jednak tego domyślić na podstawie celów, jakie postawiło sobie

działalność nowo powstałego oddziału”. W dokumentach zachował się statut tego towarzystwa. Przytoczmy kilka jego fragmentów, aby zobrazować niebezpieczeństwo, jakie widzieli carscy urzędnicy w związku z jego działalnością: „Celem działalności Towarzystwa jest dążenie do zabezpieczenia i poprawy bytu materialnego, społecznego i kulturalnego osób pracujących w rolnictwie, leśnictwie i przemyśle rolnym, a także ich rodzin. W tym celu towarzystwo broni, eksponuje i dąży do zabezpieczenia interesów materialnych i moralnych pracowników rolnictwa, wydaje materiały pomocnicze swoim członkom i ich rodzinom, pomaga im w zdobyciu pracy, niesie im pomoc prawną, pośredniczy w normowaniu sporów, zakłada szkoły, organizuje odczyty, wykłady, dyskusje, wycieczki dla zwiedzania wystaw i gospodarstw zbiorowych, troszczy się o podniesienie poziomu wiedzy zawodowej w środowisku wiejskim. Towarzystwo ma prawo nabywać i wywłaszczać nieruchomości, gromadzić kapitały, dokonywać umów, zawierając zobowiązania, przyjmować darowizny i dokonywać wszelkich przewidzianych prawem umów i zobowiązań. Towarzystwo składa się z nieograniczonej liczby członków obojga płci: honorowych i rzeczywistych. Członkiem rzeczywistym jest osoba żyjąca w Królestwie Polskim, niezależnie od tego czy pracuje niezależnie, czy najemnie w rolnictwie, leśnictwie lub przemyśle rolnym, ogrodnictwie, pszczelarstwie”.

Przy takich założeniach nietrudno było zdobyć wpływy różnym „nieprawomyslnym” osobnikom. Toteż Towarzystwo nie działało długo. Rozwiązano je 15 lipca 1913 roku.

Dwutorowo prowadzona kontrola carskich urzędników — sprawdzanie, czy towarzystwo ubiegające się o rejestrację nie jest zbyt polskie i czy nie jest zbyt rewolucyjne — pozwalała na zatwierdzanie związków o nieco dziwnych nazwach i charakterze.

zbiorów, czytelni, muzeów itp., urządzanie odczytów i pogadek — wydawanie i doskonalenie polskich podręczników, broszur, wydawnictw periodycznych”. A więc i to towarzystwo, o nieco dziwnej nazwie, było na wskroś polskie.

11 sierpnia 1907 roku policmajster łomżyński odnotował założenie w Łomży Towarzystwa Antyalkoholowego „Przyszłość”. Było to, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, towarzystwo wyższej użyteczności. Miało swój lokal przy ulicy Krótkiej, w domu należącym do Bronowicza. „Przyszłości” przewodniczyła żona nauczyciela łomżyńskiego gimnazjum, Zofia Nowacka. Działalność Towarzystwa polegała na urządzaniu bezalkoholowych balów, prowadzeniu chóru i biblioteki.

W porównaniu z działalnością współczesnego nam Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego, sprwadzającej się do urządzania narad, posiedzeń i wydawania ulotek, była to działalność może nie bogatsza, ale chyba bliższa mieszkańcom, bardziej bezpośrednia. Trudno zresztą dziś stwierdzić, czy metody pracy Towarzystwa były tak skuteczne, czy decydował tu fakt przewodniczenia mu przez osobę związaną ze szkołą — ale zgromadzenie przetrwało przez kilka lat i w roku 1911 liczyło już 103 członków.

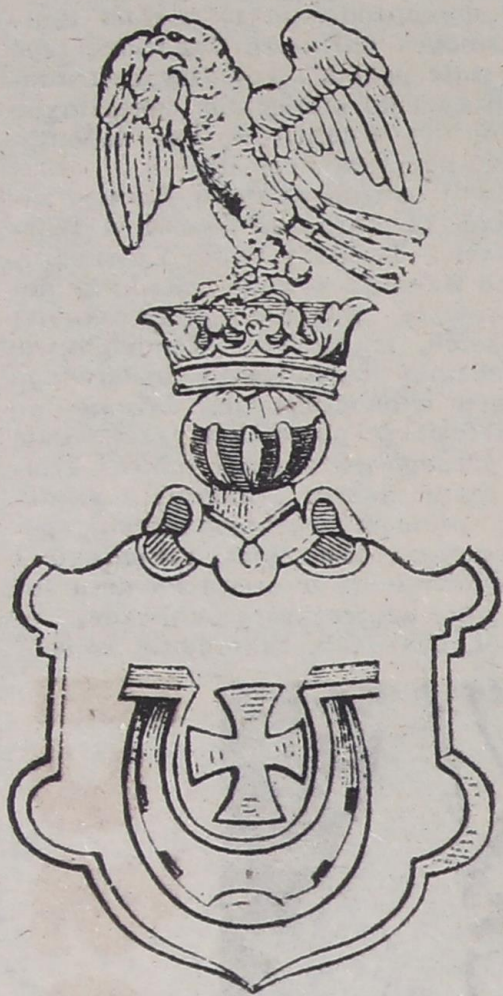
Nie są to wszystkie związki i towarzystwa, które samodzielnie lub jako oddziały centrali działały w Łomży i guberni. Wymienić by trzeba jeszcze: „Towarzystwo Spożywców — organizujące rzemiosło z branży przetwórstwa i handlowców, „Macierz Szkolną”, Towarzystwo Straży Ogniowej, Towarzystwo Wioślarskie [...]” Ograniczyliśmy się tu tylko do towarzystw i związków mniej znanych, ale skrupulatnie kontrolowanych przez łomżyńskiego policmajstra.

MIKOŁAJ JEDNACZ
TERESA POLECKA

Reprodukcja: RYSZARD PIECHOCIŃSKI



anarchizm i dyrektorzy



Trudno o bardziej „literacki” herb niż Jastrzębiec. O wielu ludziach spod tego znaku napisano tomy. Choćby o Samuelu Zborowskim. Dramat Słowackiego „Samuel Zborowski” zajmuje w naszej literaturze pozycję odrębną ze względu na osobę bohatera: banity i zabójcy; szlachcica pełną gębą. Takiego, co to z królami się przyjaźnił, przeciw kanclerzom intrygował, a przy tym nie był pozbawiony zdolności do refleksji — często bardzo głębokich.

Jeśli Samuel Zborowski nie był pierwszym w naszej historii okazem niezwykle warchoła, to z pewnością został najbardziej znanym przedstawicielem samowoli, wchodzącym w konflikt z władzą polityczną. Nie należy jednak posadzać Samuela ani jego braci o jakieś skłonności anarchizacyjne. Dziś nadużywamy słów „anarchia” i „anarchizm”. W każdym chaosie lub nieporządku dopatrujemy się przejawów anarchizmu. Gazety piszą o „anarchizacji życia społecznego”.

Anarchizm jako prąd umysłowy czy doktryna społeczna powstał dopiero w XIX w. Za jego twórcę uchodzi niemiecki filozof, Max Stirner

(prawdziwe nazwisko: Kasper Schmidt). Odrzucając wszelką władzę polityczną jako źródło moralnej deprawacji jednostki, anarchiści rychło przeszli do działalności terrorystycznej, często nie pozbawionej mimowolnych elementów czarnego humoru. Trudno dziś nie uśmiechnąć się czytając wzmiankę o tym, że na początku lat osiemdziesiątych XIX w. w Chicago wydano „Przewodnik do zabijania królów y cesarzy”. Autor tej książki, polski anarchista, L. Ciołgosz, rychło zastosował swoje pomysły w praktyce i dokonał skutecznego zamachu bombowego na prezydenta USA. Niezamierzony dowcip polegał na tym, że książka ukazała się po polsku w kraju, w którym nie było ani królów, ani „cesarzy”, a społeczność polską reprezentowali, na ogół niepiśmienni wówczas chłopcy.

Błędem jednak byłoby stawianie znaku równości między terroryzmem a anarchizmem. Nie wszyscy anarchiści uznawali przemoc. Byli i tacy, którzy zakładali zrzeszenia wolnych wytwórców i — jak np. Kropotkin — uważali, że o rozwoju ludzkości decyduje pomoc wzajemna ludzi, życzliwość. Jednak wszyscy anarchiści sądzili, że najlepszą władzą jest ta, która „najmniej rządzi” i nie krępuje swobodnego rozwoju jednostki. Anarchizm wywarł pewien wpływ na życie społeczne Italii, Hiszpanii i wielu krajów Ameryki Łacińskiej. Jako siła polityczna po raz ostatni wystąpił w okresie wojny domowej w Hiszpanii. Anarchiści stanowili główną siłę Frontu Ludowego. Odważnie walczyli w obronie Republiki.

Po drugiej wojnie światowej anarchizm przestał się zupełnie liczyć. Istnieje wprawdzie Czarna Międzynarodówka, wychodzą pisma w rodzaju „Bandiera Nera” („Czarna Sztandar”), ale to wszystko należy do folkloru polityczno-ideologicznego, stanowi raczej materiał do różnych dowcipów niż rzeczywisty problem.

Terroryzm — kojarzony niegdyś tylko z anarchizmem — stał się dziś zjawiskiem uniwersalnym, związanym z różnymi ideologiami, kierunkami politycznymi, hasłami. Mówi się nawet o filozofii terroryzmu. Nie wiele ma ona wspólnego z XIX-wiecznymi zamachami na reakcyjnych cesarzy. Obecna „anarchizacja” to określenie, które zastępuje takie nazwy, jak „atomizacja życia społecznego”, „dezintegracja, dezorganizacja czy słabość władzy wykonawczej”. Z anarchizmem ma to niewiele wspólnego, więc lepiej używać takich mylących określeń.

Ja, oczywiście, nie jestem zwolennikiem żadnego anarchizmu; chcę tylko „odpowiednie dać rzeczy słowo”.

Pragnę propagować używanie stosownych określeń, nazywających zjawiska po imieniu. Anarchizm należy do przyszłości i nie trzeba go stamtąd na siłę wywoływać. Powyższe stwierdzenie, podobnie jak inne uogólnienia, ma jednak ograniczony zasięg. Pewien fundamentalny składnik postawy anarchizującej utrzymał się i we współczesnej świadomości. Parę miesięcy temu, gdy pow szechnie i głośno zaczęliśmy sobie zadawać pytanie: jak do tego doszło — często można było usłyszeć odpowiedź: każda władza deprawuje. Przekonanie, że każda sprawowana władza prowadzi do moralnej deprawacji, jest częścią ideologii anarchistycznej, a także argumentem na rzecz anarchizmu. Ma jednak rodowód znacznie starszy. Stanowi ludowe uogólnienie wielowiekowych obserwacji, reakcję na sposób rządzenia setek różnego rodzaju neronów i kaligullów. Poza obszarami patologii społecznej jest najczęściej fałszywa. Jej uznanie prowadzi do niebezpiecznych konsekwencji i, co gorsza, niczego nie tłumaczy. Wymaga dalszych wyjaśnień.

Najprostsze przykłady obalają taką pozorną mądrość. Pytamy więc, dlaczego wysoka pozycja w hierarchii władzy zdeprawowała Edwarda Gierka, a nie zdeprawowała króla Norwegii? Zniszczyła moralnie Piotra Jaroszewicza, a zupełnie nie zaszkodziła Willemowi Brandtowi? Podobne, retoryczne — w gruncie rzeczy — pytania można mnożyć. Okazuje się wówczas, że deprawuje się nie każda władza, ale władza nie kontrolowana. Nade wszystko zaś deprawują anonimowi odgadywacze gustów i poglądów elity władzy. Wbrew Wilhelmowi Szewczykowi sądzę, że istniało „lobby śląskie” i nie bez kozery w Warszawie opowiadano dowcipy o dyktorskiej „godzinie W”, narastającej codzien nie z chwilą przybycia ekspresu z Katowic.

Nie trafiają mi do przekonania argumenty, że Katowice nie nie zyskały na gierkowskiej gigantomanii, a Sosnowiec ciągle trapiły niedostatki i że nawet stolicę województwa katowickiego chciano przenieść do Zagórza. Podziały na Ślązaków i zagłębiaków czy inne jeszcze, bardziej szczegółowe, rozróżnienia są może dobrze widoczne z Katowic, ale zupełnie nieuchwytnie dla Mazura czy Kurpia. Niezależnie od rzeczywistego miejsca urodzenia — większość gierkowskich prominentów różnych stopni występowała w roli Ślązaków. Ze urodzili się pod Kielcami czy Rzeszowem? Ważne jest, za kogo się uważali, przynajmniej w deklaracjach. Zaszkożdził tym opinii prawdziwych Ślązaków? Oczywiście. I trudno o inną reakcję.

Może jednak zaszkożdził Polskę, przeskodził jej w tym, żeby „była Polską”. Bowiem zasada: „ekipa z tej samej parafii, co szef”, nie stanowi najlepszego kryterium doboru kadry kierowniczej. Naturalnie: nieposłuszni Ślązacy mieli takie same (nikłe) szanse na awans, co nieposłuszni z innych regionów Polski. To stwierdzenie wymaga jednak bliższych wyjaśnień.

Ograniczmy się tymczasem do innej, prawie bezdyskusyjnej, prawdy. W wielowiekowej historii Rzeczypospolitej trudno byłoby znaleźć okres tak przemożnej koteryjności w doborze faktycznej elity władzy. Wiemy np., z jaką stanowczością kanclerz Jan Zamoyski dążył do wzmocnienia władzy królewskiej i swojej, kanclerskiej. Jednak w tym dziele nie polegał wyłącznie na swoich ludziach. Przeciwnie, miał ich kilku na zupełnie podrzędnych stanowiskach. I nawet Zborowscy, jego zaprzyjacieleni wrogowie, nazywający kanclerza mianem „niszczyciela swobod ojczyzny”, wykazujący — jako to uczynił pan Krzysztof na sejmiku prosińskim 1 listopada 1584 — że dom ich „dawniejszy i zacniejszy pro genere”, nie mogli mu zarzucić mafijnej koteryjności ani wykorzystywania urzędu do celów osobistych.

Krzysztof Zborowski, pałający chęcią zemsty i publicznie przyrzekający, że „Krew krwią zaptaciana będzie”, a więc jawnie grożący Zamoyskiemu, jedynie takie w nim skazy znalazł, iż jest szwagrem królewskim („niesłychane to rzeczy w Polsce”) i ma ambicję efektywnego sprawowania władzy oraz utrzymania stanowiska. „[...] ma chleb rogi, rozpucha boki ludziom: on ma regium Diadema, on hetmanem, on żołnierzem rządzi, a my mu płacim” — mówił Krzysztof Zborowski, agituując szlachtę, aby dopomogła mu w ukaraniu kanclerza, który kazał pojąć jego brata Samuela — banitę skazanego już na wygnanie za zabójstwo kasztelana przemyskiego — gdy ów, lekceważąc ustawy i własne bezpieczeństwo, na terytorium Rzeczypospolitej przebywał, ba, najczęściej, jak na uragowisko, właśnie w jurysdykcji Zamoyskiego.

Ród Zborowskich, podczas swej prawie jedenastoletniej „wojny” z Zamoyskim, uciekał się do wyzysku i tricków, sztuczek prawniczych i obietnic. Dlaczego? Bo żadnych konkretnych materiałów zohydzających kanclerza Zborowscy nie mieli. Zapewne jego przedstawiciele woleliby oskarżyć Zamoyskiego o popieranie swoich czy nepotyzm i przedstawić konkretne dowody kanclerskiej prywaty. Nie byli przecież głupcami, ale demagogami z konieczności.

STRYJEK

impresja wiosenna

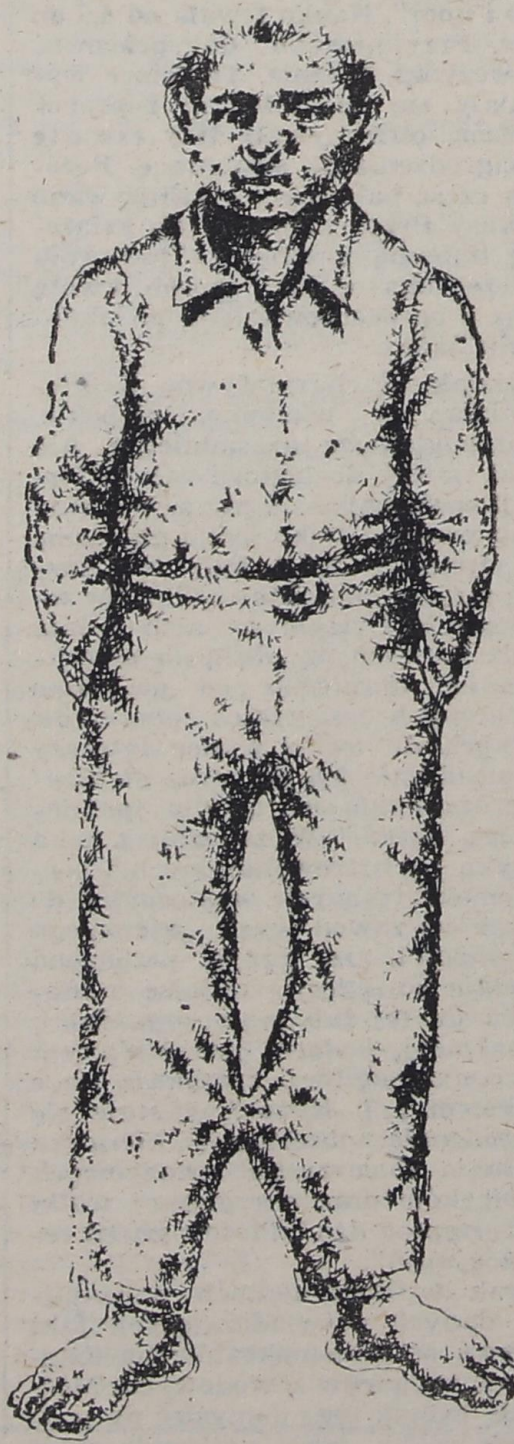
Założę się na naszych łomżyńskich loggiach. Nie należy jednak sądzić, że z powodu wczesnowiosennych kwiatów. Na treliach i balkonowych pergolach porzpinano majtki, koszule i inną spraną garderobę, która wiosenną tonację uzyskiwała przez stałe obcowanie z wodą zdarną do prania i mycia. A i twarze niektórych łomżyńskich nabrały azjatyckiego koloru i kosego wyrazu. Tylko patrzeć, jak przywdzieją kimona i zarażą wszystkich konfucjańskimi ideami. Na razie do nas „KONTEMPLUJ I PRACUJ”, a właściwie pierwsza część tego hasła („kąt płuj”). Ale i „pracuj” wzbudza coraz powszechniejsze zainteresowanie. W chińskim wydaniu ma przyjemniejszą cechę: w porze obiadowej kto by gdzie nie pracował, przerywa swoje zajęcie i kolektywnie posypia godzinę. Powiadają, że to lepiej wzmacnia niż zupa regeneracyjna.

Póki co, założymy jednak maski filtryjne na twarz. Miasto co prawda powtarza, że żółta woda nie stanowi żadnego zagrożenia, ale nie zawadzi być dalekowzrocznym i rozpocząć naukę układania filtry. Nie od rzeczy będzie zatem przypomnieć, że na wschodzie kwiaty obdarza się specjalnym językiem, według którego np. azalia symbolizuje smutek, samotność; koniczyzna — oczekiwanie; róża oznacza miłość; goździk — namiętność; a hacynt lizbą pąków określa dzień spotkania.

Wspomnijmy jeszcze — bv zakończyć ikebanowy kod — europejską tradycję, która z kolei zapachom kwiatów przypisuje cudowne właściwości. Tak to wonność fiołków skłania ludzi do miłosierdzia, purpurowej geranii — wzmacnia w człowieku odwagę, a miętę — obdarza sprytem i ciągłotkami do handlu. Nam każdy goździk i gerbera, a ostatnio frezja, pachnie miętą, a wieści pieniądze. Tę czarowną moc uzyskują w specjalnych szklanych pomieszczeniach. Tracą ją szybko — już w drugich rękach.

Polskiego pochodzenia jest również wiara w ozdrowieńczą siłę kwiatów. Nie znajduje ona tymczasem żadnego uzasadnienia w praktyce. Wśród np. lekarzy wiano goździków wywołuje niechęć, a nawet odrzucie tego rodzaju podarunku. Jeszcze dokładnie nie ustalono, jaki zapach przyczynia się do powstania zoologicznych skojarzeń w rodzaju: „Nie jestem koza — kwiatów nie jadam”.

Prawdę powiedziawszy, to niby skąd taki zapracowany lekarz ma wiedzieć, co z kwiatem zrobić? Nawet Filip, król Hiszpanii, gdy w XVIII wieku przywieziono w darze z Meksyku georginie, a raczej ich bulwiaste korzenie — przekazał je do kuchni. Kucharz na warty próbował je gotować, piec, dużyć, przyprawiać z fantazją, ale żadne danie nie wytrzymało próby kró-



lewskiego podniebienia. Więc nie dbając już o profesjonalną reputację — mistrz dworskiego żywienia zbiorowego pozostały surowiec wyrzucił przez okno na śmietnik. (Żył w zasobniejszych czasach). Wkrótce wyrosły tam przepiękne czerwone i różowe dale, w których z czasem rozkochała się cała Europa.

Nasze współczesne polskie kwiatów kochanie nie ma sobie jednak równych. Nie chodzi o ten marcowy spód, nakazujący, by „każdy pan, każdej pani kwiatów wręczał całe naręcza”, jak donoszą laurki z woj-ska, lecz o takie przypadki: w Lublińcu (woj. częstochowski) administracja szpitalna wydatkowała w ciągu pewnego roku 256002 złotych na kwiatki — czego dowodzą rachunki — i obdarowała kwieciami Prezydium WRN w Katowicach. A więc każdego dnia, nie wyłączając niedziel, blisko 50 dyżurnych goździków delegowano do Katowic. A może to nie były kwiatki?

Mniejsza o to. Ceniśmy ten wspa-niały, godny najwrażliwszego estety, gest. Przypominają się czasy lorda Sussexa, który w roku 1862, na słynnej licytacji w Cheapside, w Anglii, za storczyk o złotych prążkach i purpurowej wardze zapłacił zawrotną sumę tysiąca funtów.

Na łomżyńskich trawnikach i placach rosną mniej oryginalne rośliny. Niemniej są tak samo pożądane przez „kolekcjonerów”, jak orchidee „Zieleniejska” każdego roku uzupełnia utracone wiosną i jesienią sadzonki róż, krzewów zdobnych — a nocami trafiają one do cudzych ogródków. Nie kochajmy zatem tak mocno kwiatów na wiosnę!

ALICJA ŚREDNICKA
Rysunek Antoniego Kowalskiego

(Wabienie gładzącej kury; powoli oddala się i cichnie)

CHŁOP I: O, fajna pogoda.

CHŁOP II: Widzimy, widzimy listonosza.

LISTONOSZ: Ooo, dzień dobry.

CHŁOP I: Dzień dobry, dzień dobry.

Rączka.
CHŁOP I: A co tam? Ma co nowego?

LISTONOSZ: O, mam tu. Już bym nie jechał, bo wczoraj była ładna pogoda, a dzisiaj już tu te kałuży stoją. Ale muszę donieść, no. Chłopak czeka, jak to się mówi.

CHŁOP II: To trzeba zawieźć, no.

LISTONOSZ: No, to już lecę w skokach. (Śmieje się)

(Głośnie wabienie kury)

CHŁOP III: Ciip, cip, cip, cip.

A idź ty do licha!

KOBIETA I: Mam syna — 26 lat. I już czas najwyższy ożenić się. Hektary jest. Sporo. I ma wszystkie narzędzia, traktor. Narzędzia do roboty. Wszystko. Kupił samochód, żeby przed siebie ożenił. Ale nie ma żadnej dziewczyny, bo gdzie ją była, to poszła do miasta.

LISTONOSZ: Jednego razu sobie idę i roznoszę korespondencję, ale patrzę — dziewczyna. Złcieli się jak

roku. Czarnulka, ładna była. Ale co potem? Jak się już chciałem żenić, nie chciała i nic z tego nie wyszło.

KOBIETA I: Tu mieszka jeden. Ma 32 lata. W drugiej mieszka taki, co ma 42. W innej znowu stronie ma 35...

KAWALER I: Oj, pani, ja to już i mówić nie chcę. Każda taka sama. Miał ja nie jedną. Ale co z tego? Nie chcieli mnie.

LISTONOSZ: Chłopcy na domiar to są nieźle zbudowani. Każdy kuszerek sobie zaangażował za dwadzieścia patyki, jak to się mówi. Ale wszystko jedno: jak ni ma powodzenia, to ni ma powodzenia, no. Dziewucha jak poszła gdzieś na te szkoły, to i nie wraca.

KAWALER II: Nie ma z kim. Trzeba mieć jakiś dobry motor. Dobry motor...

LISTONOSZ: Już o motorach nie ma mowy, bo to teraz tylko samochód. No, może i chciałaby jakaś dziewczyna tego... ale one boją się tej gospodarki jak ognia, bo trzeba robić! Każda wyuczona dziewczucha przeważnie elegancko wygląda, to gdzie ona patrzy na takiego chłopię. To nie są dawne czasy.

jak to będzie. Gospodarka jest nie-mała...

KOBIETA I: Nie ma we wsi żadnej dziewczyny, a po drugich wsiach to samo jest, co i u nas.

KAWALER I: Dowiedziałem się, że jest taka jedna panna, blondynka. Ale ona miastowa. Ona patrzy co: że ja brudny. Mówi: ręce zamazane, twarde, paznokcie czarne, i nie chce ze mną. Mówi: ja z tobą wstydzić się!

(Znowu przywołanie kury i jej głośnie gładanie)

KAWALER III: Przyjdę czasami do domu i pomyślę: by się przydała żona, ale nie ma i... i jakoś nie wychodzi. Te dziewczyny nie nie myślą o zamęściu. Tylko tak sobie z wiatrem hulają i... (wzdycha). Przyszłoby do domu, obiad by był ugotowany, podane wszystko jak trzeba. Byłby dzieciak — pobawiłby się z dziećmi. A tak co? (Zamyśla się). Jak kto ma samochód, to jeszcze przed siebie ożeni, ale bez samochodu, to gada: nie kawaler...

MATKA KAWALERA III: No i w ogóle dziewcząt mało. Nawet nie ma gdzie się ruszyć po tę żonę, szukać...

OJCIEC KAWALERA III: Zda-

Pytam się: dokąd ty lecisz? A on mówi: w Zarebach mam... Widać zależy chłopinie, że tak często lata.

KOBIETA II: Gdzie nie będzie chłopakowi zależało na dziewczynie, jeżeli w domu silna rujnacja? Toż u nas we wsi prawie co drugi dom, a nawet i co pierwszy dom, jak nie ma tej kobieciny, sama rujnacja. Co chłopak? Chodzi, zagłada. Ni tej krowiny ni ma komu wydoić, no i eo. Chodzi, zagłada, szuka — czy tam do innej wsi, czy do sąsiedniej. Trzy dni by siedział, aby tej kawałek kobieciny do domu przeprowadzić.

KAWALER II: Gospodyni trzeba szukać. Ciagnika nie mam. Krowy młode, mam dwie jałówki.

(Sklep: starzy kawalerowie robią składkę)

KAWALER V: Zrobimy winko? Stasiu, daj dwadzieścia złotych. Dołożysz dwudziestkę?

KAWALER II: No...

KAWALER V: To zrobimy.

SKLEPOWA: Proszę.

KAWALER III: Dziękuję.

(Brzęk szklanek, bulgot rozlewanej wina)

KAWALER VI: Zdrowie!

Kto będzie



do święconej wody, bo wiadomo. No, napiła się mleczka. Ale co te mleko? Same mleko nic nie jest. Może winka troszeczkę? No, jak wypila winka, pozostała tu jeszcze na dwa dni. Ale co z tego? Chciał Paweł i chciał Gawel. Nie wiedział, kogo wybrać. Młoda, a on czterdziści kilka. Biedak, się nastarał, dał jej, jak to się mówi, wikt na co dzień — jedzenie i herbatę naturalnie — pantofli zmierzył numer, koszuł, kupił jej sukienkę. Pobyła jakiś czas. „No — mówi — poczekaj, już niedługo przyjadę, to damy na te zapowiedzi”. Jak się okazało, do dnia dzisiejszego jej nie ma, a już może trzy, cztery lata. Chłopina wygląda...

KAWALER I: A cóż to teraz za dziewczyna? Weźmie papierosa w zęby, piwkiem popije i na plażę zasłucha.

REPORTER: Ile ma pan już lat?

KAWALER II: Po dwudziestce, no...

REPORTER: A ile po dwudziestce?

KAWALER II: Oj...

REPORTER: Drugą dwudziestkę?

KAWALER II: Oj...

REPORTER: Nie smutno tak panu samemu?

KAWALER II: Ojej.

REPORTER: Przydałaby się młoda żona.

KAWALER II: Oj...

KOBIETA I: Kawalerów pełno, co dom jeden jest. Starych, młodszych i młodych.

KAWALER I: Powiem pani. Chodził do jednej. Długo, chyba pół

KAWALER I: Mnie trzeba dziewczynki takie: żeb krowy doila, świni karmiła, kury macała, obiad gotowała, szykowała, domu patrzyła. (przywołuje kury)

KOBIETA I: W mieście ulice zamiatają, i to dla niej dobrze. A tu tyle jest chłopów! Chodzą tylko, popijają.

LISTONOSZ: Ta poszła tu, ta poszła tu. Ta na Horteksie, ta w Peksie. To tam diabeł kusi, jak to się mówi. (Śmieje się) Skąd one będą o wiejskich chłopakach myśleć? No, zachodzę do jednej rodziny: synek do pewnej sklepowej chodził. To i ona jego rzuciła. „Co ty mnie tam na gospodarkę namawiasz — mówi — jak ja dwa i pół patyka albo do trzech sobie zarobię”.

KAWALER I: Jak dowiedziała się, że mam gospodarkę, to mnie nawet znać nie chciała. Nie chciała mnie! Ale nadziei nie tracę. Potem chodząc do sklepowej. Bardzo ładna. Podobała się, to już i żenić się miał z nią. I też mi nic nie wyszło. No, ale ja jeszcze mam nadzieję.

KOBIETA I: Co to teraz za czasy nastały?! Jak ja byłam dziewczyną, to pytali się: ile ma krów? Jak miał dużo, to dziewczynka chętnie szła. A teraz pyta się: Ile masz krów? Jak powie pięć-sześć, to mówi: looo, żeb on jedne miał krowe... Doić krowy, świni chować?

MAŻ KOBIETY I: Do nas żeby przyszła młoda (wzdycha) i doła dziewczyna, to miałaby jak w raj. Ale co zrobić, kiedy bardzo tutaj tych panien nie ma. Ja nie wiem,

laby się dziewczyna do roboty. Młoda.

MATKA KAWALERA III: A my wszyscy jeszcze razem pracowali. Dzieciaki by odchowali, jakby mieli (śmieje się) i byłoby komu to przekazać. I młodem byłoby lżej trochę. Tak to jest. (Zamyśla się). Żeby panny do naszej wsi dali o sobie znać! Chłopaków jest sporo. Mieszkania tylko podstroim i będą wyglądać, czy gdzie jaka nie jedzie.

KAWALER I: Potem już tak patrzył, żeby była jaka bądź, byle chciała zostać na gospodarstwie. Ale one wszystkie takie same: lepszy pi-jak, złodziej, byle z miasta, bez hektarów. Za takiego pójdzie. Zrezygnowałem i już nie będę się żenił. Sam będę kury macał!

(Kawaler łagodnie nawołuje kury)

KAWALER IV (do panny, którą zaprosił do domu): Ja żony nie mam, sam jestem. Biedny jak sierota, lo. Patrzaj: i pierzyna jest, (ona się śmieje ironicznie) i łóżko, tapczanik, a ja, o, pokażę tam, mo-żesz wejść, o, pójdziem na pokój, zobaczy, jaki, lo. Ładny nawet, tak, o (ona śmieje się szyderczo).

PANNA: Kosz jest dzisiaj.

KAWALER IV: A?

PANNA: Kosz jest dzisiaj!

KAWALER IV: Kurtka mać, psia krew.

LISTONOSZ: A za mną żona latała. Ja nie był przystojny bardzo, ale leciała i tylko pytała: kiedy dasz na te zapowiedzi? A teraz to ni ma tego. Tu mamy nawet jednego takiego, który co sobotę leci, jakby mu wiatrem popychał kapotę.

KAWALER II: No, niech będzie. Zdrowie!

REPORTERKA: Co panowie będą teraz robić?

KAWALER II: Spać idę.

KAWALER III: Żona uciekła, no to co zrobić?

REPORTERKA: Jaka żona?

KAWALER III: Przyszła żona...

SKLEPOWA: Każdy z nich ma żonę na strychu. Tylko tak sobie marzą. Czasami gadają, żeby żonka — byłoby czego do domu iść, a tak? Lepiej tutaj, w sklepie, posiedzieć. Bo tu koledzy są, jakaś rozrywka, towarzystwo. A do domu nie ma czego iść, nie ma do kogo wracać. (Zamyśla się). Zawsze po te dwadzieścia na te wino mają...

(Bulgot rozlewanej wina do szklanek)

KAWALER II: Proszę!

SKLEPOWA: Tu niejeden tak sobie czasami westchnie: oj, żeby było do kogo wracać, żeby było z kim tak porozmawiać, byłoby inaczej. Nie przychodziliby, nie piliby. Oni czasami już nawet się umówią, że w niedzielę tam i tam do tamtej jada, gdzieś sobie się wybiorą. No, ale później, w poniedziałek, wracają jacyś tacy, trochę przygaszeni. Widać coś im nie wyszło.

KAWALER IV: Nie popadło tak, żeb się ożenić. I tak przeżyłem swoje młode lata. Nadešli starsze. Pół wieku było ciężko, teraz mnie bardzo dobrze już. I już mam lat siedemdziesiąt ctera, panie święty. Tylko proszę o... o scenśliwe śmierć.

ANNA HORODECKA
Fot. GABOR LÖRINCZY

obyczaje



sport

P przed pięcioma laty dałem się omamieć łomżyńskim władzom oświatowym i sportowym, które rozstrzygnęły przede mną wizję świetlanej przyszłości dla piłki siatkowej. „To nic, że na razie baza jest skromna, ale za rok rozpoczynamy budowę hali sportowej, a najpóźniej za dwa lata — budowę pływalni.” Zjechałem do Łomży i rozpocząłem pracę w szkole sportowej (Szkoła Podstawowa nr 3). Ułożono nas, z żoną i trzyletnim synkiem, w pokojku bursy nr 1.

Nie zrażając się warunkami, wspólnie z żoną prowadziłem zajęcia w trzech klasach sportowych szkoły, a dodatkowo zajmowałem się sprawami będącymi w gestii zastępcy dyrektora ds. sportu, ponadto pracowałem w MKS „Zorza” jako trener drużyny siatkarek. „Zorza” miała ściśle współpracować ze szkołą. W międzyczasie przez szkołę przewinęło się kilku nauczycieli wychowania fizycznego; piszę „przewinęło się”, bo polityka kadrowa władz oświatowych, delikatnie mówiąc, była niewłaściwa.

Przebojem dochodziłszy krajowej czołówki młodzieży i młodzików. W konfrontacji z zespołami „Sarmaty” Warszawa (trzykrotny mistrz Polski młodzieży), AZS

nie dajmy się omamieć

AWF Poznań, „Czarnych” Słupsk, „Gedyni” Gdańsk, MKS „Pałac” Bydgoszcz i „Warmii” Olsztyn, na turnieju w roku 1980 wywalczyliśmy drugie miejsce. Nie muszę dodawać, że zespoły, które wymienię, to znane w kraju firmy.

Rewelacją ubiegłorocznej spartakiady młodzieży — zespół chłopców — to nasi wychowankowie, a fakt, że województwo łomżyńskie posiada obecnie dwa zespoły kobiet w lidzie międzywojewódzkiej i jeden zespół męski, też jest zasługą nauczycieli Szkoły Podstawowej nr 3 w Łomży.

Już po roku pracy pojawiły się pierwsze większe trudności. Okazało się, że na niczyją pomoc nie można liczyć. Szkołę pozostawiono samą sobie ze wszystkimi kłopotami: załatwianiem sal do treningu, zakupem sprzętu i organizacją zawodów. Wszystkie te sprawy spadły na barki nauczycieli, którzy ponadto musieli tłumaczyć się przed rodzicami, a co gorsze — i przed uczniami, z tego, że obóz został źle przygotowany, a posiłki spożywane w niewłaściwych warunkach. Laury i zaszczyty zbierali działacze ze Szkolnego Związku Sportowego, którzy również ustalali terminy spotkań i dobierali przeciwników.

Zaczęłam przy różnych okazjach wyrażać swoją dezaprobatę dla poczyniań działaczy. Wtedy okazało się, że nie pasuję do „konsepcji”. Przesłano więc zapraszać mnie na narady i zebrania, a następnie pozbawiono funkcji trenera siatkarek w klubie.

W ubiegłym roku nastąpiły w szkole zmiany kadrowe. Dyrektorem został Mieczysław Jarząbek — sympatyk sportu, a na stanowisko Inspektora Oświaty i Wychowania powołano byłego nauczyciela wychowania fizycznego, Michała Jednacza. Szło nowe, ale echo wydarzeń sierpniowych znalazło odbicie w Łomży dopiero w styczniu br., i to w zniekształconej formie. We wzajemnym rozliczeniu się sięgano do dziwnych argumentów. Na jednej z narad zajęło się szkołami sportowymi, a ściślej mówiąc — ich likwidacją. Za najważniejszy argument przyjęto brak bazy. Zacieklej mówiąc, Kuratorium Oświaty i Wychowania w Łomży, a więc instytucja, na której wniosek przed pięcioma laty wojewoda powołał te szkoły do życia! W dyskusji prym wiodli urzędnicy, zabrakło w niej natomiast szkoleniowców, a więc ludzi będących najbliższymi problemami szkoły.

Cncę zakładową w imieniu własnym i moich kolegów, nauczycieli wychowania fizycznego, że kategorycznie żądamy, aby raz na zawsze przestano decydować o naszych sprawach bez nas. Jesteśmy realistami i zdajemy sobie sprawę z trudności, wiemy zatem, że nie wyrosną nam, jak grzyby po deszczu, obiekty sportowe, bo nie sprzyja temu obecna sytuacja gospodarcza kraju. Mimo to opowiadamy się za utrzymaniem szkół sportowych, chociaż przychodzi nam pracować w bardzo ciężkich warunkach i w różnych godzinach, również w dni wolne od pracy. Robimy to kosztem życia rodzinnego i własnego zdrowia. Nie możemy jednak dopuścić do zaprzepaszczenia naszego dotychczasowego dorobku. W warunkach łomżyńskich jedynie sport szkolny ma rację bytu, dlatego więc finansuje się sekcje i dyscypliny o wątpliwej przyszłości? Historię robienia na siłę boksu znają doskonale wszyscy. Czy tak trudno zdecydować się na rozwijanie innych dyscyplin, mających w Łomży bogate (jeszcze przed wojenne) tradycje, jak chociażby koszykówka czy (z okresu powojennego) piłka siatkowa?

Chciałbym, aby przed podjęciem ostatecznej decyzji wszyscy zainteresowani odpowiedzieli sobie na powyższe pytania.

MIROSLAW SKAWSKI
trener II klasy piłki siatkowej

Z RUCHU ZWIĄZKOWEGO

co może kierownik

W różnorodnej strukturze organizacyjnej przedsiębiorstw, spółdzielni, organizacji społecznych, urzędów, często powstaje wątpliwość, kogo należy uważać za kierownika zakładu pracy.

Co zatem rozumie się pod pojęciem „zakład pracy”? Kodeks pracy określił (art. 3), że „zakładem pracy jest jednostka organizacyjna, zatrudniająca pracowników, choćby nie posiadała osobowości prawnej. W szczególności zakładem pracy jest przedsiębiorstwo państwowe, urząd lub inna państwowa jednostka organizacyjna, spółdzielnia, organizacja społeczna”. Przepis wskazuje więc na dwie cechy charakterystyczne: wyodrębnienie organizacyjne i zdolność zatrudniania pracowników. Pierwsza nie jest wyraźnym kryterium, gdyż np. wyodrębnienie organizacyjne o różnym zakresie posiada wiele zakładów będących filiami przedsiębiorstw. Wówczas nie zawsze wiadomo, która z jednostek może być uważana za zakład pracy. Natomiast zupełnie wyraźnie można określić zakład pracy według drugiego kryterium. Zakładem pracy jest taka jednostka organizacyjna, która ma prawo zatrudniania i zwalniania pracowników, przy czym musi ono wynikać ze statutu organizacyjnego tej jednostki, a nie z upoważnienia jednostki nadrzędnej. Należy tu wyraźnie odróżnić sytuację, kiedy takie prawo zostało przyznane z upoważnienia organu wyż-

szego szczebla. W tych przypadkach kierownik podpisuje umowę o pracę dla zatrudnionego, zaznaczając to wyraźnie słowami: „z upoważnienia” np. wojewody. Osoba je podpisująca nie jest więc kierownikiem zakładu pracy. Jest nim organ udzielający upoważnienia.

KIEROWNIK ZAKŁADU A ZAKŁADOWA ORGANIZACJA ZWIĄZKOWA

Różne przepisy przewidują różne formy współdziałania między kierownikiem a organami związków zawodowych. Aby właściwie je stosować, trzeba dokładnie interpretować pojęcie używane przez kodeks. Postaram się je przybliżyć.

1. Zgoda rady zakładowej jest konieczna przy rozwiązywaniu umowy o pracę z kobietą w ciąży (art. 177 § 1 kp). Rozwiązanie umowy o pracę bez wypowiedzenia z członkami rady zakładowej wymaga zgody bezpośrednio nadrzędnej instancji związkowej (art. 32 § 4).

Przyjęta w tych przypadkach forma „zgody” nakłada na kierownika zakładu obowiązek — wcześniejszego wystąpienia do związku zawodowego o aprobatę zamiaru. Stanowisko związku musi być wyraźnie sprecyzowane. Nie może być uznane za zgodę milczenie rady zakładowej. Gdyby w takim przypadku rozwiązano umowę, pracownikowi przysługiwałoby roszczenie o przywrócenie do pracy.

Jest jeszcze jeden wymóg: o zamiarze wypowiedzenia umowy o pracę lub niektórych jej warunków kierownik zakładu pracy ma obowiązek zawiadomić radę zakładową przed terminem zamierzonego wypowiedzenia — i to na piśmie. Musi ponadto podać przyczynę wy-

wiedzenia umowy. Rada zakładowa natomiast może w terminie 3 dni od doręczenia pisma zgłosić umotywowane zastrzeżenia, jeżeli uzna, że wypowiedzenie jest nieuzasadnione. Wówczas zakład pracy może przedstawić sprawę przewodniczącemu instancji nadrzędnej. Zastrzeżenia rady zakładowej, nawet uznane przez przewodniczącego nadrzędnej instancji związkowej, mają jednak charakter opiniodawczy i nie wpływają na skuteczność wypowiedzenia. Są jednak brane pod uwagę przy ocenie zasadności wypowiedzenia, dokonywanej przez organa rozstrzygające spory pracownicze. Niezachowanie zaś wyżej opisanej formy zawiadomienia rady zakładowej powoduje w konsekwencji przywrócenia pracownika do pracy.

2. Opinia rady zakładowej wymagana jest przy:
— rozwiązaniu umowy o pracę bez wypowiedzenia,
— przyznawaniu nagród i wyróżnień,
— ustalaniu planów urlopów.

W przypadku rozwiązania umowy bez wypowiedzenia tryb opiniowania jest wyraźnie określony przez prawo. Kierownik zakładu pracy ma obowiązek zawiadomić radę zakładową na piśmie, uzasadniając rozwiązanie, a rada zakładowa może, w ciągu 3 dni od zawiadomienia, wyrazić swoją opinię. Milczenie rady zakładowej należy odczytywać jako brak zastrzeżeń do decyzji. Także opinia negatywna nie pozbawia kierownika zakładu możliwości rozwiązania umowy. Nieuwzględnienie opinii nie wpływa na ważność rozwiązania umowy, ale jest ona brana pod uwagę przy rozstrzygnięciu sporu o przywrócenie do pracy. Rygor ten jest jednak osłabiony przez

art. 62 kp, zezwalający na uznanie za skuteczne rozwiązanie umowy nie skonsultowane z radą zakładową, jeżeli było ono uzasadnione. W sumie ochronę związkową pracownika przed rozwiązaniem umowy bez wypowiedzenia należy uznać za niezbyt mocną.

Opiniowanie dwóch pozostałych spraw nie ma określonego trybu. Przepisy nie przewidują też żadnych skutków związanych z niezachowaniem wymogu konsultacji. W drastycznych przypadkach powinny jednak spowodować interwencję organizacji związkowej w jednostce nadrzędnej danego zakładu pracy.

3. Działanie w porozumieniu z radą zakładową określają: art. 98 § 6 kp — regulujący tryb postępowania przy sprostowaniu opinii, art. 112 kp — określający tryb rozpatrywania sprzeciwu od decyzji o nałożeniu kary porządkowej, art. 131 § 1 kp — regulujący tryb ustalania rozkładu czasu pracy, art. 251 § 2 kp — ustalający tryb powołania komisji rozjemczej w zakładzie pracy. We wszystkich tych przepisach jest sformułowanie „w porozumieniu z radą zakładową”. Oznacza to po prostu osiągnięcie wspólnego stanowiska — kierownika i rady zakładowej. Gdy zdarzy się, że kierownik na własną rękę podejmie decyzję o utrzymaniu kary, uznaje się ją za nieskuteczną. O jej uchyleniu należy wystąpić do jednostki nadrzędnej nad zakładem pracy, a nie do organów powołanych do rozstrzygania sporów.

Szerzej zagadnienia te omawia Gerard Bieniek w artykule „Formy współdziałania z radą zakładową w sprawach pracowniczych”, zamieszczonym w „Nowym Prawie” 3/76.

dr HALINA SESKIEWICZ

skrzyżowania skrzyżowania

Parę lat temu — wojewódzka już — Łomża doczekała się komunikacyjnego uhonorowania: wspaniałego wielopasmowego skrzyżowania, wyposażonego w sygnalizację świetlną. Gdy zabłyśły kolorowe lampy, załśniły na asfalcie białe linie i strzałki — powiało wielkomiejskim rozmachem. Wielu obserwatorów tego osiągnięcia inżynierii drogowej powołało zaczęło przekonywać się do awansu powiatowego miasta i snuć dalekosieżne marzenia o potężnej aglomeracji. Wprawdzie sceptycy sarkali na brak planowanych początkowo, podziemnych przejść dla pieszych, z których budowy zrezygnowano, wynajdowali drobne niedoskonałości, np. brak symetrii przejazdowej, lecz, chcąc nie chcąc, musieli uznać wyższość nowego skrzyżowania nad starym. Stare było przysłowiowym wąskim gardłem dla pojazdów, stwarzało poważne

dyskoteka i inne cuda

zagrożenie dla bezpieczeństwa ruchu, słowem — obiektem godnym najso- czystszych epitetów.

Przebudowane skrzyżowanie wrosło na stałe w pejzaż miasta, a plątająca psikusy sygnalizacja zdążyła zyskać sobie pieszczotliwe miano „dyskoteki”. Złosiłwi utrzymują, iż taki węzeł komunikacyjny potrzebny był tu po to, by przygotować łomżyńskich kierowców i pieszych na wypadek niespodziewanego znalezienia się w Warszawie.

Radości łomżyńskim kilka tygodni temu położyono kres. Autobus, który uderzył w jeden z sygnalizatorów, pozrywał kable, „dyskoteka” zamarta na dobre. Widok ten stał bulwersujący bywalców skrzyżowania ulic Świerczewskiego i Armii Czerwonej. Mało kto jednak wie o trudnych do pokonania przeszkodach w ożywieniu sygnalizacji. Jest ona podłączona do miejskiej sieci energetycznej, a więc podlega takim samym, jak my wszyscy, wyłączeniom dopływu prądu. A ponadto jeszcze jedna ciekawostka: w Łomży jest tylko jeden konserwator tego typu urządzeń, lecz w zakresie uprawnień ma

on... czyszczenie styków oraz wymianę zużytych żarówek. Każda nieco bardziej skomplikowana awaria wymaga ubiegania pewnego warszawskiego przedsiębiorstwa o delegowanie kompetentnego fachowca, a rzeczony przedsiębiorstwo nie kwapi się zbyt do rozświetlenia naszego skrzyżowania-rodzinka.

Oprócz sygnalizacji świetlnej służbom drogowym nie brak i innych kłopotów. Przysparza ich szczególnie obowiązek utrzymania w jakim takim stanie oznakowania dróg. Bo, nie wiedzieć czemu, znaki drogowe mają wielu wrogów, którzy nie przebijają bynajmniej w środkach. Doskonałym obiektem ich agresji były swego czasu podświetlane znaki, które, bezліtośnie bite, zniknęły całkowicie. Błazane także nie wszystkim przypadają do gustu, o czym świadczą ich liczne zmasakrowane szczątki, napotykanne w rowach czy koszarach na śmieci. Być może barwy znaków raziły jakichś „estetów”, zakłócały im doskonale szary obraz ulicy.

Wreszcie słów kilka o „chochliku” drogowym, który czasem przed nie-

bezpiecznym zakretem w prawo umieścił znak ostrzegający przed zakretem w lewo albo odwrócił drogowskaz o 180 stopni. Dla niego zerwanie odblaskowej folii ze słupów przydrożnych to pestka, że nie wspomnę o lampie oświetlającej nocną miejscę robót na jezdni.

Autora takich pomysłów określa się mianem „chuligana”, „wandalę”, ale terminy te nie oddają w pełni istoty sprawy. Wandalę nazywamy przecież łamiącego ławki i deptającego trawniki, zaś ani połamana ławka, ani zniszczony zieleniec nie bywają przyczyną tragedii na drodze.

Nie ma co wszczynać sporu o adekwatność epitetu, gdy idzie o zwalczanie groźnego zjawiska. Nad użytkownikami dróg wisi przecież groźba wpadnięcia do wykupu-widma czy zjechania z jezdni w wyniku czyjejś bezmyślności. Z pewnością istnieje możliwość jej wyeliminowania, lecz wymaga to zaangażowania nas wszystkich, nie zaś tylko nielicznych, biorących za to pieniądze.

W odpowiedzi na własny apel od dziś już zaczynam pilnować znaków stojących w pobliżu mego domu.

DYŻURNY DROGOWSKAZ

CZWARTEK 19 MARCA 1981 R.

PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — chemia, sem. II.
6.30. TTR, RTSS — biologia, sem. II.
8.10. Przeproszenie obronne, kl. VIII i I lic.
9.55. Język polski, kl. VII.
11.55. Nauka o człowieku, kl. VIII.
12.50. Język polski, kl. I-IV lic.
13.30. TTR, RTSS — fizyka, sem. IV.
14.00. TTR, RTSS — geografia, sem. IV.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.25. „Decyzje piętnastolatów”.
15.55. Obiektów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Czwartek TDC, m.in. „Był sobie człowiek”.
17.30. Magazyn motoryzacyjny.
17.55. Telewizja Młodych przedstawia — CDN: „Młodzi na wsi” (2).
18.20. Magazyn lotniczy.
18.50. Dobranoc.
19.00. Sonda — „Ostrzeżenie”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Misja” (1) — film sensacyjny TVP w reż. Pawła Komorowskiego.
21.05. Pegaz.
21.55. Mózg — „Zwierciadło duszy”.
22.30. Dziennik Telewizyjny.
22.45. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
10.00. Popołudnie Przygody i Podróży.
11.30. Poradnik Działkowca.
15.55. Język rosyjski (22).
16.25. Język francuski (22).
17.00. Poradnik Działkowca.
17.30. Popołudnie Przygody i Podróży.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. NURT — język polski.
20.40. NURT — porozmawiajmy.
21.10. 24 Godziny.
21.20. Wieczór Filmowy — „Wielogłos” i Kino Faktu: Dżiga Wiertow.
22.40. NURT — matematyka.
23.10. Język rosyjski (22).

PIĄTEK 20 MARCA 1981 R.

PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — fizyka, sem. IV.
6.30. TTR, RTSS — geografia, sem. IV.
9.00. Program dla kl. III: „Wrocław leży nad Odrą”.
9.55. Program dla kl. IV — „W Poznaniu”.
11.00. Wychowanie obywatelskie, kl. VII.
12.50. Geografia, kl. VIII.
13.30. TTR — hodowla zwierząt, sem. II.
14.00. TTR — uprawa roślin, sem. II.
15.05. Redakcja Szkoła zapowiada.
15.20. NURT — praca-technika.
15.55. Obiektów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. „Piątek z Pankracym”.
16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny”.
17.20. „Pod jednym dachem” (10) — „Stancja wędkarska”.
18.20. „Wykrzyknik”.
18.35. Rolnicze rozmowy.
18.50. Dobranoc.
19.00. Telewizja Młodych przedstawia — CDN: „Młoda wieś” (3).
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Mistrzostwa świata w hokeju na lodzie: Rumunia-Polska.
21.05. „Listy o gospodarce”.
21.50. „O ulicy, ludziach i walizce” — piosenki Andrzeja Sikorowskiego.
22.40. Dziennik Telewizyjny.
PROGRAM II
10.00. „Pod jednym dachem” (10) — „Stancja wędkarska”.
10.45. „Gwiazdozbiór” — Zbigniew Zaspasiewicz.
11.35. „Nieznani bohaterowie” (2) — film sensacyjny KRDL.
14.00. Mistrzostwa świata w hokeju na lodzie: Rumunia-Polska.
16.25. Język francuski (22).
16.55. Język rosyjski (22).
17.30. Kino „Obieżyświat”.
18.00. „Dokąd zmierzają małe teatry”.
18.25. „Stopklatka” — filmy sensacyjne TVP.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Nieznani bohaterowie” (2) — film sensacyjny KRDL.
21.05. 24 Godziny.
21.15. „Gwiazdozbiór” — Zbigniew Zaspasiewicz.
22.05. Studio Kwadrans — „Jak kupić meble”.
22.25. Język francuski (22).

SOBOTA 21 MARCA 1981 R.

PROGRAM I
6.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. II.
6.30. TTR — uprawa roślin, sem. II.
7.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. IV.
7.30. TTR — uprawa roślin, sem. IV.
10.00. Mistrzostwa świata w hokeju na lodzie: Szwajcaria-Polska.
12.25. Studio 2.
18.50. Dobranoc.
19.00. Studio 2.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Studio 2.
PROGRAM II
12.25. Studio 2.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Studio 2.

NIEDZIELA 22 MARCA 1981 R.

PROGRAM I
6.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. IV.
6.30. TTR — uprawa roślin, sem. IV.
7.00. TTR, RTSS — „Wiedza nasza szansa”.
7.40. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
8.10. Emerytury dla rolników.
8.20. „Telewizjada”.
9.00. Teleranek, m.in. film „Grośba” (1) — „Tyłko Kaśka”.
10.20. Antena.
10.45. „Ginący świat” — „Karczewisko w dzune”.
11.40. Dziennik Telewizyjny.
12.00. „Gdy się powiedziało a...” — program Redakcji Rolnej.
12.30. Poranek symfoniczny WOSPRIT.
13.30. Tyłko w Niedziele.
13.35. Wiersz dla ciebie.
14.00. Giełda pomysłów.
14.05. „Przygody Sindbada”.
14.10. „Szlaki kultury polskiej”.
15.05. „Rezerwy bez granic” — „Pre-Rian”.
15.35. Aukcja na rzecz Muzeum Karykatury.
15.55. Sportowa Niedziela.
16.50. „Monsieur Verdauc” — film Char-
16.50. Chaplina z 1947 r.
17.00. O polityce, filozofii i nie tylko...
17.30. Karykatura.

19.30. Dziennik Telewizyjny.

20.10. Wiersz dla ciebie.
20.15. „Anna Karenina” (9).
21.15. Finał aukcji na rzecz Muzeum Karykatury.
21.30. Sportowa Niedziela.
22.10. „Narodzony gwiazdą” — im-
presja filmowa.
22.50. „Jaki naprawdę jestem”.
23.25. Wiersz dla ciebie.
PROGRAM II
8.25. „Krótkofalowiec” — program woj-
skowy.
10.00. „Misja” (1).
10.55. Sportowa Niedziela.
13.35. Przejście tygodnia.
15.00. „Fleur Lafontaine” (2) — film prod.
NRD.
16.40. „Tuzin” — teleturniej.
17.25. Teatr Telewizji — Stanisław Wy-
spiński: „Wesele”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Z piosenką przez Brazylię”.
21.55. „Twórci i jego dzieło” — Peter
Paul Rubens.
22.40. „Cóż za pan!” — polski film
fabularny w reż. Tadeusza Kijńskiego.

PONIEDZIAŁEK 23 MARCA 1981 R.

PROGRAM I
10.00. TTR, RTSS — język polski, sem.
III.
14.00. TTR, RTSS — wskazówki meteo-
dyczne, sem. III.
14.30. Szukamy producenta.
15.30. NURT: praca-technika.
15.55. Obiektów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Zwierzyńce.
16.55. Klinika Zdrowego Człowieka.
17.15. „Cztery pancerni i ples” (10) —
„Kwadrans po nieparzystej”.
18.10. Program publicystyczny.
18.35. Rolnicze rozmowy.
18.50. Dobranoc.
19.00. Szukamy producenta.
19.05. Echa stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Teatr Telewizji — Sofokles: „An-
tygona” w reż. Jerzego Grucy.
21.35. Mistrzostwa świata w hokeju na
lodzie: Polska-Norwegia.
22.25. Horyzont — „Czy istnieje Prosy?”.
22.55. Dziennik Telewizyjny.
23.10. Szukamy producenta.
PROGRAM II
10.00. Klinika Zdrowego Człowieka.
10.20. „Własna wina” — film TVP.
11.05. Studio Bis.
13.50. Mistrzostwa świata w hokeju na
lodzie: Polska-Norwegia.
16.15. Język niemiecki (23).
16.40. Język angielski (16).
17.15. „Ochotnicy” — film Andrzeja Jur-
gi.
17.40. Gość Studia Bis.
17.45. „Dzień karawany” — film Marka
Piestraka.
18.10. Gość Studia Bis.
18.20. „Życie codzienne” — film Mirosła-
wa Gronowskiego.
18.55. Gość Studia Bis.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Gość Studia Bis.
20.20. „Dokument dla syna. Powrót na
miejsce wypadków” — film Macieja Śni-
mowskiego.
21.10. Gość Studia Bis.
21.20. „Ballada o Janie Nowaku” — re-
portaż Franciszka Trzeciaka.
21.45. Gość Studia Bis.
21.50. „Hela Pacewiczówna z Zadwo-
rzan” — film Tamary Soloniewic.
22.20. 24 Godziny.
22.30. „Własna wina” — film TVP w re-
żyserii Wiesława Helaka.
23.15. Język niemiecki (23).

WTOREK 24 MARCA 1981 R.

PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — język polski, sem. II.
6.30. TTR, RTSS — wskazówki meteo-
dyczne, sem. II.
9.55. Język polski, kl. II lic.
13.30. TTR, RTSS — język polski, sem.
IV.
14.00. TTR, RTSS — matematyka, sem.
IV.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.55. Obiektów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Telewizyjny Klub Seniora.
16.55. Polska Kronika Filmowa.
17.05. Dom i My.
17.20. „Struś Pędziwiatr przedstawia”.
17.40. Interstudio.
18.05. Telewizja Młodych — CDN.
18.50. Dobranoc.
19.00. Telewizja w sprawie miliardów.
19.05. „Świadkowie”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Słodki dom” — dramat psycho-
logiczny prod. francusko-belgijskiej.
21.45. Mistrzostwa świata w hokeju na
lodzie: Japonia-Polska.
22.15. Forum ekonomistów.
22.55. Dziennik Telewizyjny.
23.10. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
10.00. Mistrzostwa świata w hokeju na
lodzie: Japonia-Polska.
15.15. Język niemiecki (23).
15.40. Język angielski (16).
16.15. Sekrety Kina.
16.55. „Cała naprzód”.
17.25. Szkiełko i Oke — magazyn po-
pularnonaukowy.
18.25. „Tak czy inaczej”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Wtorek Melomana.
21.15. 24 Godziny.
21.25. „Bez recepty” — rozmowy o wy-
chowaniu.
21.55. Filmy Andrzeja Wajdy — „Brze-
zina”.
23.25. Język angielski (23).

ŚRODA 25 MARCA 1981 R.

PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — język polski, sem.
IV.
6.30. TTR, RTSS — matematyka, sem.
IV.
8.10. Chemia, kl. VIII.
9.00. Fizyka, kl. VI.
12.30. NURT — matematyka.
13.00. Telewizja w sprawie miliardów.
13.30. TTR, RTSS — fizyka, sem. II.
14.00. TTR, RTSS — chemia, sem. II.
14.30. Program dla PGR-ów — „Organi-
zacja ferm zwierząt futerkowych”.
15.00. Mecz piłki nożnej: Polska-Rum-
unia.

15.45. Dziennik Telewizyjny.
16.00. Polska-Rumunia, II połowa.
16.50. „Michałki”.
17.15. „Dzień dobry w kręgu rodziny”.
17.50. „Świat” — konfrontacje.
18.15. Turystyka i Wypoczynek.
18.40. „Maszyny i urządzenia”.
18.50. Dobranoc.
19.00. Camerata — magazyn muzyczny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Twój Współczesny: „Dawne dłu-
gi” — radziecki film obyczajowy.
21.40. XYZ, cz. I.
22.10. Dziennik Telewizyjny.
22.25. XYZ, cz. II.
22.55. „Maszyny i urządzenia”.

PROGRAM II

10.00. „Ocalić od zapomnienia”.

Łomża, kino „Październik”: 19-20 III —
seanse zamknięte.
Ciechanów, kino „Meteor”: 19-20 III —
„Rewizja osobista”, prod. pol. (od lat
18); 21-22 III — „Port lotniczy 77”, prod.
USA (od lat 15); 24-25 III — „Szacowni
nieboszczycy”, prod. włoskiej (od lat 18).
Grajewo, kino „Relax”: 19-20 III —
„Szczęśliwi”, prod. USA (od lat 15); 21-
22 III — „Solo Sunny”, prod. NRD (od
lat 18); 23-25 III — „Nie taki zły”, prod.
franc. (od lat 15).
Jedwabne, kino „Oaza”: 21-22 III —
„Miłość Adeli H.”, prod. franc. (od lat
15); 23-26 III — „Chiński syndrom”, prod.
USA (od lat 15).
Końskie, kino „Wrzós”: 19-20 III — „Nau-

Miejski Dom Kultury — Dom Środo-
wisk Twórczych w Łomży: „Penetracje
podziemskie. Ciborowski, Deptuła, Le-
siak” — wystawa fotografii w klubie „Pod
Arkadami”, czynna codziennie — oprócz
poniedziałków — w godz. 14.00-20.00.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wy-
sokim Mazowieckim: Wojewódzki Wy-
gląd Kapel Ludowych, orkiestr wesel-
nych, Instrumentalistów, Śpiewaków i

Galeria Twórczości Plastycznej Dzieci,
ul. Marii Skłodowskiej-Curie 5 (Szkoła
Podstawowa nr 3), czynna codziennie —
oprócz niedziel i dni świątecznych — w

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzy-
we Koło 1, czynne codziennie (z wyjąt-
kiem poniedziałków i dni poświęce-
nych): we wtorki i czwartki w godz.
11.00-18.00, w środy, piątki i soboty w
godz. 10.00-15.00, w niedziele w godz.
11.00-15.00. Wystawy: „Nabytki Muzeum
w latach 1975-1980” — wystawa najcie-
kawszych eksponatów z różnych dzie-
dzin, kultury materialnej (czynna od 15
III); „Bursztyn z dorzecza Narwi śro-
dokowej” — wystawa prezentująca wydo-
bywanie, obróbkę oraz wyroby z bursz-
tynu.
Park Etnograficzny Północno-wschod-
niego Mazowsza im. Adama Chętnika w
Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjąt-
kiem poniedziałków i dni poświęce-
nych) w godz. 9.00-16.00. Wystawy: 1)

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giel-
czyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska.
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne
998 — Pogotowie Ratunkowe.
998 — Straż Pożarna.
Pogotowie Chirurgiczne, ul. Marii Skło-
dowskiej-Curie 1. Czynne całą dobę.

W razie potrzeby

Ogłoszenia drobne

Szczęśliwie kojarzy małżeństwa Bio-
ro Matrymonialne „Mazury” Olsztyn
2, skrytka 336. Lk 4922-0
WOJEWÓDZKA Spółdzielnia Ogrod-
niczo-Pszczelarska w Łomży unie-
ważnia pieczętkę o treści: Woje-

wódzka Spółdzielnia Ogrodniczo-
Pszczelarska w Łomży Dział Pro-
dukcji Ogrodniczej. Lk 638-1
BIURO Matrymonialne „Piast”.
84-300 Łęborg, skr. pocz. 22 — po-
leca usługi. p 371-1

WOJEWÓDZKI OŚRODEK SPORTU I REKREACJI w ŁOMŻY, ul. 1 Ma-
ja 4 ogłasza PRZETARG NIEOGRODNI-
czony na wykonanie robót bu-
dowlanych na basenie rekreacyjnym w Szczuczynie.

W przetargu mogą brać udział przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze,
osoby prywatne posiadające odpowiednie kwalifikacje.

Kosztyorysy oraz dokumentacja techniczna znajdują się w WOSiR w
Łomży. Oferty należy składać w zalakowanych kopertach w terminie 2
dni przed odbyciem przetargu.

Komisijne otwarcie kopert nastąpi w dniu przetargu, to jest 26 marca
1981 r. o godz. 10 w biurze WOSiR w Łomży, ul. 1 Maja 4.

WOSiR zastrzega sobie prawo wyboru dowolnego oferenta lub unieważ-
nienia przetargu bez podania przyczyn. k 983-1

10.30. Twój Współczesny: „Dawne dłu-
gi” — radziecki film obyczajowy.
15.45. Język angielski (16).
16.15. Język angielski (23).
16.50. Program morski.
17.20. „Kangur” — węgierski film oby-
czajowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Antykwarjat — „Klejnoty drukar-
skiej sztuki”.
20.40. „Ocalić od zapomnienia” — „W
cieniu Mariackich wież”.
21.10. „Wiem, co jem” — program Re-
dakcji Rolnej.
21.40. 24 Godziny.
21.50. „Zapraszamy do nas” — „Szpilki”.
22.25. „Wieczorne rozmowy w kręgu ro-
dliny”.
22.55. Język angielski (23).

czyciel”, prod. kubań. (od lat 12); 21-
22 III — „Corleone”, prod. włoskiej (od
lat 18); 23-25 III — „Flic story”, prod.
franc. (od lat 18).
Nowogród, kino „Ziemowit”: 21-22 III —
„Korek”, prod. polskiej (od lat 18);
24-25 III — „Kliniec”, prod. pol. (od lat
15).
Stawiski, kino „Saturn”: 19-20 III —
„Okna czasu”, prod. węgier. (bez ogra-
niczeń); 21-22 III — „Ukochana żona”,
prod. włoskiej (od lat 18); 24-25 III —
„Brat kata”, prod. NRD (od lat 12).
Wysokie Mazowieckie, kino „Wars”:
19-20 III — „Szał”, prod. ang. (od lat
18); 21-22 III — „Ojciec Chrzestny II”,
prod. USA (od lat 18); 24-25 III — „O-
swobodzenie Pragi”, prod. CSRS (od lat
15).
Zambrów, kino „Kosmos”: 20-21 III —
„Gang Olsena wpada w szal”, prod. duń-
skiej (od lat 12); 22-23 III — „Zabawka”,
prod. franc. (od lat 12); 24-25 III — „Dia-
bli mnie biorą”, prod. franc. (od lat 15).
Kierownictwo kin zastrzega możliwość
zmian programu.

Gawędzarzy (sala kina „Wars”), 22.III
godz. 10.00.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Gra-
jewie: wystawa „Aktorzy Filmu i Tea-
tru Polskiego” (sala Domu Kultury),
20-31.III, w godz. 8.00-15.00, we wtorki,
środy i soboty w godz. 15.00-22.00.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Kol-
nie: „Wieczór Poezji Śpiewanej Poetów
Polskich”, 24.III, godz. 18.00.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zam-
browie: Środowiskowy Konkurs Recyta-
torski „O Nagrodę Miśla-Wierszownia”,
22.III, godz. 11.00.
Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w
Rajgrodzie: „Moja dziewczyna” — wy-
stawa prac olejnych plastyka-amatora,
Janusza Sobolewskiego, czynna w godz.
10.00-18.00; „Topienie Marzanny”, 21.III.

godz. 8.00-18.00, w soboty w godz. 8.00-
15.00. „Kobiety w pracach plastycznych
uczniów Szkoły Podstawowej nr 3”.
Salon Wystawowy BWA, ul. Armii
Czerwonej 19 (czynny codziennie — o-
prócz poniedziałków i dni poświęce-
nych — w godz. 12.00-18.00, w soboty i
niedziele w godz. 13.00-16.00): IX Między-
narodowy Salon Fotografii Artystycznej
„Wenus 78” — wystawa fotografii czyn-
na do dnia 20.III; Biennale Fotografii U-
żytkowej „Poznań 80” — wystawa foto-
grafii, czynna od dnia 24.III.

Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wypo-
sażeniem, izba tkacki-artystki ludowej
Anny Kordeckiej, śpiłcherek z wysta-
wą obrazującą przemiał i przechowywa-
nie zbóż, stodoła ze starym, drewnia-
nym kieratem i narzędziami bartnymi.
2) W Dworku z Brzózki wystawa arche-
ologiczna — „Pradzieje Nowogrodu”.
3) W chacie z Baranowa wystawa „A-
dam Chętnik — życie i działalność”.

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa
Kłuka w Ciechanowcu, czynne codzien-
nie (z wyjątkiem poniedziałków i dni
poświęceńnych) w godz. 8.00-16.00 w
niedziele i święta w godz. 11.00-19.00.
Wystawy stałe: 1) „Dzieje rolnictwa”
(techniki uprawy, pasterstwo, hodowla
transport wiejski, mechanizacja rolni-
ctwa, rzemiosło, tkactwo ludowe). 2) Wy-
stawa biograficzna Krzysztofa Kłuka. 3)
Skansen mazowiecko-podlaski z ekspo-
zycją wewnątrz. 4) Regionalna Izba Pamię-
ci Narodowej. Wystawa czasowa: „Brań-
skie dywany dwuosnowowe” — składają-
ca się z dwóch części ekspozycja dywa-
nów — prac konkursowych i starych
tradycyjnych tkanin.

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giel-
czyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska.
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne
998 — Pogotowie Ratunkowe.
998 — Straż Pożarna.
Pogotowie Chirurgiczne, ul. Marii Skło-
dowskiej-Curie 1. Czynne całą dobę.

Ogłoszenia drobne

Szczęśliwie kojarzy małżeństwa Bio-
ro Matrymonialne „Mazury” Olsztyn
2, skrytka 336. Lk 4922-0
WOJEWÓDZKA Spółdzielnia Ogrod-
niczo-Pszczelarska w Łomży unie-
ważnia pieczętkę o treści: Woje-

wódzka Spółdzielnia Ogrodniczo-
Pszczelarska w Łomży Dział Pro-
dukcji Ogrodniczej. Lk 638-1
BIURO Matrymonialne „Piast”.
84-300 Łęborg, skr. pocz. 22 — po-
leca usługi. p 371-1

WOJEWÓDZKI OŚRODEK SPORTU I REKREACJI w ŁOMŻY, ul. 1 Ma-
ja 4 ogłasza PRZETARG NIEOGRODNI-
czony na wykonanie robót bu-
dowlanych na basenie rekreacyjnym w Szczuczynie.

W przetargu mogą brać udział przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze,
osoby prywatne posiadające odpowiednie kwalifikacje.

Kosztyorysy oraz dokumentacja techniczna znajdują się w WOSiR w
Łomży. Oferty należy składać w zalakowanych kopertach w terminie 2
dni przed odbyciem przetargu.

Komisijne otwarcie kopert nastąpi w dniu przetargu, to jest 26 marca
1981 r. o godz. 10 w biurze WOSiR w Łomży, ul. 1 Maja 4.

WOSiR zastrzega sobie prawo wyboru dowolnego oferenta lub unieważ-
nienia przetargu bez podania przyczyn. k 983-1

Łomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefan Henczel — zastępca redaktora
Wiesław Kosiński, Juliusz Świdro, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński, Fotoreporter — Gabor Lőrincz, Redaktor
dew Henczel, Korekta — Elżbieta Ślupka, STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Andrzej Bartosz, Alicja Basta, Janusz Berner, Jerzy Bielecki, Ireneusz Bielecki, Kie-
mens Krzyżagórski, Jan Kulka, Piotr Kuncewicz, Marek Kusiba, Tadeusz Mocarski, Franciszek Piątkowski, Tomasz Piotrowski, Zbigniew Siedlecki, Andrzej Tchorzewski, Wojciech Woźniak, KONCEPCJA GRAFICZNA
— Marek Goebel, ADRES REDAKCJI: ul. Sadowa 10 18-400 Łomża Tel. 34-55, 40-22, telex — 853249 WDAWCA: RSW „Prasa Książka-Ruch”, Białostockie Wydawnictwo Prasowe w Białymstoku Druk Białostockie
Zakłady Graficzne, Zam. 452/81, Nakład 23.100 A-5 Indeks 36328 Ogłoszenia przyjmują: Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. tyg. „Kontakt” 18-400 Łomża ul. Sadowa 10 Tel. 34-55, 40-22 oraz wszystkie
niura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za

KONTAKT

SOWA NADZIEWANA CZARCIM ŁAJNEM

Danie to, wbrew pozorom, nie było ulubioną potrawą czarownic z Łysej Góry. Gotowaną sowę, nadziewaną czarcim łajnem, chętnie podawano w czasie uczt Aleksandra VI, władcy Państwa Papieskiego w XVI wieku, obok takich przysmaków, jak pieczony jeż i niedźwiedzia szynka.

Czarcie łajno — nadzienie cokolwiek odpychające, przynajmniej z nazwy — to popularne określenie „stercus diaboli”, czyli asafetydy. Jest to sok rośliny występującej na pustyniach i stepach Iranu, a także w Afganistanie. Wiosną, gdy pojawia się pęd kwiatostanowy, ścina się go tuż przy ziemi, a wówczas korzeń wydziela biały, cuchnący sok, tężejący w czerwono-brunatne grudki. Asafetyda ma oryginalny zapach, przypominający woń czosnku i cebuli. W krajach azjatyckich, głównie w Indiach, czarcie łajno stosowane jest jako przyprawa. Irańczycy smarują mięso przed smażeniem dla uzyskania ulubionego aromatu.

Czarcie łajno to także kadzidło wschodnich krajów. Do niedawna stosowano je również w lecznictwie jako środek uspakajający przy dolegliwości psychicznych. (AI)



PAMIĘTNIK ADAMA

PONIEDZIAŁEK. Zrozumiałem chyba, po co istnieje tydzień: aby był czas na odpoczynek po trudach niedzieli. To dobry pomysł... Ona znów się wspinała na to drzewo. Przepłoszyłem ją stamtąd. Powiedziała, że nikt nie patrzył. Uważa, że to wystarczająco „usprawiedliwia” wszelkie ryzyko. Użyłem takiego wyrażenia. Słowo „usprawiedliwia” wzbudziło jej podziw — a także zazdrość. Sądzę, że to trafne słowo.

CZWARTEK. Oznajmiła mi, że

powstała z zebra wyjętego z mego boku. Jest to chyba mało prawdopodobne, gdyż nie brakuje mi ani jednego zebra. Bardzo martwi się o sępa i przypuszcza, że trawa mu nie służy. Obawia się, że nie będzie mogła go dłużej hodować, i sądzi, że powinien żywić się padliną. Sęp musi sobie radzić z tym, co dostaje. Nie możemy zmienić całego świata dla wygody sępa. (Cdn.)

MARK TWAIN



DONOS NR 1

Psu na budowę się zdalo, a tym hyciom z nieba rodem tylko na uciechę, to moje głodomorzenie. Z samych głębin przysłali do mnie, o gatunku trunkowy, konserwatora zabytków, że niby dzwonnica stara i że nie szanuję siwego włosa moich przeciwników. Zdzieliło mnie sromotnie, oderwałem parę zmurszałych desek i cisnąłem nimi w bubka. Mój negocjator aż podskoczył z radości, bo podobno wojewódzkie opłatki powiększa.

Siedzę teraz na gmaszysku po noc ekskluzywnym (anielska robota). Adaptowałem go na piec i grzejną nogi, bo mi żdźbko oblodziały po tym moczeniu (woda miała być święcona, ale widać znów dostałem fałszyfikat). W każdym bądź razie mam górników w nosie — energia uzyskana z tarć społecznych to mój patent. Wkrótce przejdę na centralny system ogrzewczy, a z Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego zrobię generalny kaloryfer (od samej nazwy już się ciepło robi — nie?).

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY PRACA ZAWODOWA

W piekle wrze. Znosi się na sabat nadzwyczajny. Wiedźmy prze-

klinają decyzję o ograniczeniu kursów dalekobieżnych na odkurzacach, bo do miotła wciąż brak części zamiennych.

Szczęśliwie rozpoczęto siewy wiosenne. Obsiano już kukurydzą pobocza drogi Suwałki — Bakalarzewo — Olecko. Nareszcie nikt nie będzie się czuł wypuszczony w maliny. Tylko rolnicy zachodzą tu i ówdzie oraz w głowę, co to za uniwersalne ziarno, które się można w styczniu i lutym. Najbystrzejsi dopatrzili się w tym ziarna odnowy. Poprzednie próby obsadzenia drogi drzewkami okazały się płonne, bowiem z miejsca napuściłem na sadzonki szkodniki z gatunku *homo sapiens*. Z resztą nieco przesolono.

WYTYCZNE

O postulatach — po stu latach.

WSKAZÓWKI

Prez. z ziarnem! Przy sprzyjających warunkach zawsze pokazuje kły.

TWÓRCZOŚĆ

Temu kwitnie, kto ma grządkę w sitwie (a jeszcze lepiej — w piekle centralnym).

Z upoważnienia NSDW

Czarnego vel Hańczaka

do publicznej wiadomości podał

Tadeusz Charmuszko

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT

ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Jak z pewnością pamiętamy, jeśli sobie zechcemy przypomnieć, parę ostatnich spotkań czterech naszych znajomych diablów, ob. ob. Dojlckiego, Biebrzańskiego, Bużańskiego i Narwiańskiego, odbywa się w okolicach Łomży, prawdopodobnie na pulwach, jeśli wręcz nie w samym centrum miasta. Toczy się zażarta dyskusja, choć tym razem diabły nie wyrrywają sobie nawzajem rogów. Jednoczy ich bowiem wspólny cel.

BIEBRZAŃSKI: Koledzy! Czas najwyższy przenieść naszą sesję na tereny, za które ja bezpośrednio odpowiadam.

NARWIAŃSKI: A to niby dlaczego, jeśli laska? Niedobrze wam tutaj, stary dziadu? Wszystko macie na miejscu, a nawet więcej niż wam potrzeba. Są zarządzenia, nie brakuje autorytetów, macie częściowe przynajmniej poparcie, tak więc czego wam właściwie brak?

BIEBRZAŃSKI: Otóż mianowicie różnych rzeczy wszelako brak. Przede wszystkim musimy rozciągnąć i umocnić nasze bezpośrednie wpływy na środowisko naukowe. Bez niego nasza szczytna idea kompleksowego wykończenia Biebrzy nie przejdzie tak łatwo. Jeszcze znajdzie się przypadkiem jakiś pacan, który weźmie i zaprotestuje. Co wtedy zrobimy?

BUŻAŃSKI: Macie rację. Aczkolwiek głos nauki w naszej wieloletniej tradycji był głośmieniem wołającym na puszczy, tym niemniej puszcza ostatnio silnie została przezebiona, dzięki czemu jeśli ktoś wrześnie, mogą czasem usłyszeć gdzie nie trzeba.

NARWIAŃSKI: Ajajaj! Nie przeżyłem dokładnie tego zagadnienia. Zatem co nam czynić wypada?

DOJLICKI: Może jakie stypendia naukowe zasubsydiować? Jak ktoś od nas forszę weźmie, to już nie podskoczy.

BIEBRZAŃSKI: Częściowo byłbym za, chociaż w drugiej części byłbym przeciw. Wartość pieniądza gwałtownie spada, tak więc i lojalność może zmniejszać, jak to się mówi, wprost proporcjonalnie. Na matematyce specjalnie się nie znam, tym niemniej gdzieś słyszałem, że

rzadzą nią głupawe, ale twarde i zupełnie nieprzekupne prawa.

NARWIAŃSKI: Czy ekonomia też się rządzi jakimiś prawami?

DOJLICKI: Diabli wiedzą, ale chyba tak.

NARWIAŃSKI: Może zatem przypuścimy frontalny atak ekonomiczny? Trzeba zacząć tłumaczyć, że jak się nie uruchomi grajewskiej mleczarni, popadniemy w całkowitą klęskę i ruinę materialną.

DOLIDZKI: To jest myśl! Chociaż, z drugiej strony, co po serku topionym edamskim bez szklanki czystej wody?

NARWIAŃSKI: Co, u diabła, wy też zaczynacie widzieć czarno? Ludziom można wytłumaczyć, że będą pić limoniadę.

BIEBRZAŃSKI: Albo serwatkę, albo maślanke, albo śmietanę, co ją będą w grajewskiej mleczarni wyrabiać. Mogą też zakaszać serkami i inną galanterią mleczarską.

DOJLICKI: Główną strategią powinny być argumenty, że zakład kosztował ponad pół miliarda i że są już ludzie zatrudnieni.

BUŻAŃSKI: Takim językiem nauczyliśmy niektórych mówić podczas trwania propagandy sukcesu.

DOJLICKI: I się sprawdzało. Ale do rzeczy. Musimy wiedzieć, w czym chodzi rzecz. Otóż nad tą całą Biebrzą wytrząsa się paru naukowców. Jedni badają ryby, inni grzyby, jeszcze inni bobry, losie, dzięki prosie itp. Cała ta halastra gotowa podnieść raban. Trzeba właśnie zatrudnić naukowców, żeby tłumaczyli narodowi, że im bardziej, tym bardziej. Im więcej smrodu, tym lepiej dla organizmu.

NARWIAŃSKI: Ludziom przecież można wszystko wytłumaczyć.

BIEBRZAŃSKI: Oj, nie wszystkim, są takie zakute tby, które ani rusz nie mogą zrozumieć, w czym chodzi rzecz.

BUŻAŃSKI: Koledzy. Powołujemy zatem centralny sztab naukowy. Proponuję, żeby według dawnej mody, stanął na jego czele kolega Dojllicki. Jego zastępcą powinien być kolega Narwiański, a rzeczniczem naukowców niech zostanie kolega Biebrzański. Weźmiemy jeszcze paru resortowych doktorów i jakiegoś zaangażowanego ideowo docenta kontraktowanego i doktora zrehabilitowanego jakąś pracą zaangażowaną ogólnie. Dziś coraz więcej takich traci czegoś pracę, a więc nie powinniśmy mieć kłopotów z naborem.

NARWIAŃSKI: Popieram propozycję kolegi. Zadbamy, żeby ekspertyzy były właściwe i prawidłowe.

Wszystkie diabły ze zrozumieniem kiwają głowami. Same są ciekawe, co z tego wyniknie.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

POKUSY

Andrzej Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY